

## Słowo jak dynamit

*Historię Niezależnej Oficyny Wydawniczej podjęliśmy już w „Karcie” 33 w Opowieściach wolnego drukarza Adama Grzesiaka - jego szeroką relację zapisała Wiesława Grochola\*. W ostatnich latach przeprowadziła ona (dzięki stypendium Ministerstwa Kultury) serie rozmów z wieloma twórcami NOWej. Powstał obszerny, kilkusetstronicowy wielogłos.*

*Przedstawiamy wybór z tekstu przygotowanego przez Wiesławę Grocholę, opisującego historię przedsięwzięcia, które naruszyło fundament systemu komunistycznego. Tytuł pochodzi od Jana Krzysztofa Kelusa, który w swej Piosence patetycznej śpiewał: „Tak wynikło z koła zdarzeń / że mieliśmy swój egzamin / w czasach kiedy jeszcze słowo / słyhać było jak dynamit”.*

*Całość, pod tym samym tytułem, ukaze się nakładem Wydawnictwa „Świat Książki”, Bertelsmann Media. Wykorzystana ikonografia pochodzi ze zbiorów Ośrodka KARTA. (Red.)*

### **Barbara Toruńczyk:**

Od powstania KOR-u „Biuletyn Informacyjny” i inne publikacje korowskie pisało się na maszynach. Myśmy to przepisywały - dziewczyny. Tak samo było w Marcu 68, kiedy przepisywałam zawiadomienie o wiecu. Ta sama technika. Pisałyśmy na maszynie osiem-dziewięć przebitek, na cienkiej bibułce, ledwo czytelne. Roznosiłyśmy po znajomych.

### **Konrad Bieliński:**

Ten, kto dostawał „Komunikat” KOR-u przepisany na bibułce, przepisywał go w kolejnych kilku egzemplarzach i podawał dalej - znajomym, którzy go znów przepisywali na maszynie w kilku egzemplarzach i przekazywali swoim znajomym... I tak dalej...

### **Mirosław Chojecki:**

Powstało dzięki temu coś w rodzaju ruchu społecznego, bo każdy, kto dostał „Komunikat”, czuł się zobligowany, żeby go przepisać przez kalkę na maszynie i rozdać kilku znajomym. To przez parę miesięcy doskonale funkcjonowało, tworząc kontakty, więzi, drogi przepływu, tak że potem, jak zaczęliśmy powielać, sieć kolportażu była prawie gotowa. Była zasada, że każdy, kto dostaje jeden egzemplarz, oddaje dwa - żeby było wiadomo, gdzie to dobrze działa, a gdzie wpada w dziurę; żebyśmy wiedzieli, na kogo można liczyć.

---

\* WIESŁAWA GROCHOLA - dziennikarka, reporterka; w 1955 roku ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Publikowała w znaczących pismach społeczno-literackich, jak „Polityka”, „Kultura” (warszawska), a także w pismach podziemnych.

„Komunikat” informował wyłącznie o sprawach, którymi zajmował się KOR. Każdy tekst był najpierw uzgadniany z jego członkami; publikowano tylko te teksty, które uzyskały aprobatę wszystkich. W zespole redagującym „Komunikat”, między Antkiem Macierewiczem, Anką Kowalską, Jackiem Kurońem i panią Anielą Steinsbergową, dochodziło do ostrych starć, także o słowa, stąd „drewniani” - w efekcie kompromisów - język tych dokumentów, zwany przez nas „korkowcem”.

We wrześniu 1976 w mieszkaniu wynajmowanym na warszawskim Żoliborzu przez Antka Liberego odbyła się burzliwa dyskusja, w której brali udział Antek Macierewicz, Jacek Kuroń, chyba Sewek Blumsztajn i Piotr Naimski. Spieraliśmy się o to, czy drukować, czy przepisywać. Wtedy padały argumenty, że jeśli wdamy się w powielanie, to mogą wobec nas zastosować odpowiednie paragrafy artykułu „kto rozpowszechnia informacje i poglądy mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Polski Ludowej...”, zaś przepisywanie na prywatnej maszynie trudno uznać za rozpowszechnianie. Część osób uważała, że użycie powielacza natychmiast oznaczać będzie więzienie, i tak dalej. Koniec. Zduszą nas w zarodku! Nie, nie chodziło o strach osobisty, tylko o to, że nie zdążymy niczego zrobić.

Nawet Jan Józef Lipski, najdzielniejszy z dzielnych, który zawsze był pierwszy - także wtedy, kiedy trzeba nam było przemówić do rozsądku - przestrzegał przed powielaniem: „Zastanówcie się: już widzę te luny, te zniszczenia...”.

#### **Jacek Bocheński:**

Nie umiem wskazać osoby, która pierwsza rzuciła myśl, żeby sporządzić jakiś zbiór tekstów literackich i spróbować go rozpowszechnić bez pytania cenzury o pozwolenie. Mnie osobiście powiedział o tym pomysłu, kilkanaście lat ode mnie starszy, Jerzy Andrzejewski.

#### **Barbara Toruńczyk:**

O „Zapisie” mówiło się jeszcze wcześniej niż o KOR-ze. Wtedy bardzo zaostrzyła się cenzura, wielu pisarzy było pozbawionych możliwości druku. Pomysł pisma na pewno należał do Adama Michnika. Mówił o tym ze mną jeszcze przed wyjazdem do Paryża latem 1976 (dostał paszport na zaproszenie Jean Paul Sartre'a, ale nie dlatego, że Sartre go prosił o wizytę, lecz dlatego, że bezpieka chciała się go pozbyć po wypadkach czerwcowych; Jacka Kurońa wzięto wtedy do wojska, z Adamem było trudniej, bo miał kategorię „D”). Pomysł był już skonkretyzowany i Adam powiedział, żebym została sekretarzem tego pisma.

Tytuł wymyślono już po wyjeździe Adama, na jednym z zebrań redakcyjnych, pochodził od Marka Nowakowskiego. To był tytuł jego opowiadania, a zarazem mówiło się wtedy: „mieć zapis” -chodziło o zapis w cenzurze, że dany autor jest objęty zakazem druku lub na dany temat nie wolno pisać.

Byłam zaprzyjaźniona z Wiktorem Woroszyńskim. Właśnie on został pierwszym redaktorem „Zapisu” i to jego determinacji zawdzięczać należy, że wielomiesięczne rozmowy zakończyły się

sukcesem.

Pamiętam zebranie u niego w domu; byli: Marek Nowakowski, Artur Międzyrzecki, chyba Kazimierz Brandys i Jacek Bocheński oraz tzw. młodzi, wśród nich Jakub Karpiński, Ryszard Krynicki i Stanisław Barańczak. Młodzi nie wahali się, ale wszystko zależało od starszych pisarzy, którym ta decyzja przychodziła z trudem, bo znacznie więcej ryzykowali; niektórzy z nich myśleli, że może jeszcze odzyskają prawo druku, chodziło też o paszporty i o to, z czego będą żyć. Byli tacy, którzy nie chcieli zaszkodzić czasopismom, z którymi byli związani.

Jeśli się spojrzy na ogromne nakłady, w jakich byli w PRL wydawani, i na ich sławę autorską, to można zrozumieć, jak wiele postawili na tę kartę...

Pierwszy numer „Zapisu” miał być manifestacją środowiska literackiego nie godzącego się na restrykcyjną politykę kulturalną, na zaostrzającą się cenzurę, a zarazem pokazanie, jak wielu pisarzy zostało objętych zakazem publikacji. Był to swego rodzaju almanach, składanka tekstów różnych autorów.

#### **Jacek Bocheński:**

Pierwszy numer „Zapisu” został wydany z datą: styczeń 1977. Cóż jednak znaczyło w tym wypadku wydanie? 250 stron przepisanych jak „Biuletyn Informacyjny”, przez kalkę, w tylu egzemplarzach, ile arkusików papieru przebitkowego udało się wkręcić na raz w maszynę. A ponieważ wałek przyjmował z największym trudem sześć kartek, pierwszy nakład „Zapisu” miał 6 egzemplarzy. Każdy egzemplarz został oprawiony w karton. Wyglądem zewnętrznym przypominał książkę. Duży, ciężki tom. Zaufana maszynistka przepisała tekst po raz drugi i nakład zwiększył się z sześciu do dwunastu egzemplarzy.

Oczywiście, o kserokopiarkach czy drukarkach nie było w naszych warunkach mowy. Na użytek prywatny nikt ich wówczas nie miał. Wolno je było posiadać tylko upoważnionym instytucjom. Niestety, dostępu do takiego sprzętu strzeżono jak guzika wyrzutni raketowej...

#### **Barbara Toruńczyk:**

Zaufane maszynistki pomógł mi znaleźć Jan Józef Lipski w Instytucie Badań Literackich, w którym pracował. Jedna z nich powiedziała: „Ja w AK złożyłam ślubowanie walczyć o wolną Polskę i nikt mnie z tego ślubowania nie zwolnił”. My byliśmy wprawdzie z „warszawki wolteriańskiej”, ale to, co robiliśmy, wzruszało te panie; bardzo się poświęcały, przepisywały po nocach, po kryjomu. Pod „Zapise” podpisywaliśmy się nazwiskami, więc tym bardziej sprawy techniczno-organizacyjne musiały być robione w ukryciu. Maszynistki potrafiły na jednej maszynie, przepisując przez kalkę, uzyskać 9-12 egzemplarzy, ale czytelnych było tylko 5-7.

#### **Seweryn Blumsztajn:**

Dla nas, pokolenia marcowego, bardzo ważne było firmowanie własnym nazwiskiem tego, co robimy. Ale też było to dla nas znacznie łatwiejsze, bo nie mieliśmy niczego do stracenia; od Marca - po więzieniach - żyliśmy już na marginesie oficjalnego życia PRL, nie mieliśmy szans na pracę czy karierę, nie było nas skąd wyrzucić, można nas było wyłącznie ponownie wsadzić.

### **Barbara Toruńczyk:**

Drugi numer „Zapisu” to był maj 1977 i nasza głodówka w kościele św. Marcina - w obronie osób uwięzionych. Brałam udział w głodówce, ale równocześnie bardzo się przejmowałam numerem. Gajka Kuroń przyniosła mi wiadomości do kościoła, taki raport z robót, na karteczkach, które zaraz zniszczyłam. Chyba nawet jeden z nielicznych - bezcennych, bo przepisanych na maszynie - egzemplarzy tego drugiego numeru też dostarczył mi ktoś podczas trwania głodówki, żeby pokazać, że już jest gotowy. Oprawiony był w ładny, twardy papier marmurkowy (mieliśmy zaufanego introligatora), a w środku te żałosne, mało czytelne karteczki.

Na początku w ogóle nie myśleliśmy o powielaniu. Nawet na jednym z zebrań założycielskich późniejszego KOR-u, jeszcze latem 1976, kiedy Jacek Kuroń był w wojsku i przekradł się na nie tajnie, Jan Józef Lipski wymógł na nas decyzję, żeby unikać prowokacji, w tym uruchomienia powielacza. Pamiętam, że ktoś zapytał: „No dobrze, a co zrobimy, jeżeli powielacz wystrzeli gdzieś na uboczu?”. I nie mieliśmy na to odpowiedzi.

Po głodówce w św. Marcinie spotkałam się z Wiktorem Woroszyńskim w parku za kinem „Wisła”. Była piękna słoneczna wiosna... Podszedł do nas Ludwik Dorn i jak to on, lekko się zacinając, powiedział: „Jest powielacz, są ludzie i chcą robić «Zapis». Co wy na to?”. Spojrzeliśmy z Wiktorem po sobie, pytamy: „Ile?”. Chodziło nam o nakład. A on - że 250 egzemplarzy! Powiedzieliśmy, że musimy to omówić w szerszym gronie, ale od razu zrozumieliśmy, że to jest moment absolutnie przełomowy. To była grupa lubelska, z której potem powstała NOWa. Ten powielacz tam właśnie wystrzelił.

### **Janusz Krupski:**

Pierwszy numer „Zapisu” dostaliśmy dopiero w maju 1977. Kupiłem za swoje pieniądze sto ryz papieru na 400 egzemplarzy. Był już zespół do powielania, zrobiliśmy to w trzy tygodnie.

### **Jacek Bocheński:**

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy usłyszałem, że grupa studentów w Lublinie, na powielaczu zorganizowanym przez Piotra Jeglińskiego i przeszmygowanym z Paryża, po raz pierwszy wydrukowała „Zapis” w oszałamiającym nakładzie 400 egzemplarzy. Zachował mi się taki jeden egzemplarz, dość nieczytelny, w kolorze fioletowym, bo do produkcji używano denaturatu. Jest bez kartonowej okładki, ale z ozdobną winiętą na stronie tytułowej i sygnaturą „firmy” na odwrocie: „Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza”. Ktoś, kto mi to wydanie przekazywał, umieścił je - zapewne dla ostrożności - w szarej, mocno wyświechtanej teczce-aktówce, na której widniał napis „Ciocia Frania”.

### **Piotr Jegliński:**

Koncepcje i nazwę NOWej, czyli Nieocenzurowanej Oficyny Wydawniczej - zmienionej potem na Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWa - wymyśliliśmy z Januszem Krupskim i Witem Wojtowiczem w galerii drezdeńskiej „Zwinger”. Muzeum było stosownym miejscem do takich rozmów - jak się potem okazało, nasz drezdeński kontakt, przez który przechodziło sporo materiałów i informacji, był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

### **Mirosław Chojecki:**

Spotkanie z chłopcami z Lublina, przede wszystkim z Januszem Krupskim, było przełomem w sposobie drukowania. Jeszcze przed spotkaniem z nimi kombinowaliśmy, jak to robić. Dziesięć lat wcześniej, kiedy Bogusia Blajfer z Andrzejem Sewerynem robili ulotki w sprawie agresji na Czechosłowację, odbijali je na wyżymacze. Ale teraz znalezienie wyżymaczki na korbę nie było łatwe; tamte pralki „Franię” już się pokończyły, weszły pralki automatyczne. A jeśli nawet udało się w jakiejś piwnicy znaleźć „Franię”, to była tak zdezelowana, wałek był tak wyrobiony, że odbijał tylko po bokach. Jakies półtora-dwa miesiące próbowaliśmy bezskutecznie z tą wyżymaczką, aż pojawił się powielacz - Krupskiego i Jeglińskiego.

### **Janusz Krupski:**

Piotr Jegliński, który w 1974 roku wyjechał na Zachód, nawiązał w Paryżu kontakt z „Kulturą” i Radiem Wolna Europa w Monachium. Szukał u emigracji wsparcia w pozyskaniu sprzętu, ale nawet Jerzy Giedroyc, nawet Jan Nowak-Jeziorański odmówili mu pomocy, argumentując, że zbyt narażałoby to młodych ludzi w kraju.

W lutym 1976 dostałem wiadomość od Jeglińskiego, że mamy powielacz na denaturat, na 100 odbitek; kupił go sam za kilkadziesiąt dolarów - taka zabaweczka. W marcu czy kwietniu teatr Leszka Mądzika pojechał do Anglii na występy. Rozmontowali ten powielacz do ostatniej śrubki, wpakowali po kawałeczku pomiędzy dekoracje i przewieźli z Londynu do Lublina.

Pierwszą naszą próbą było wydanie wiosną 1976 Folwarku zwierzęcego Orwella - parę egzemplarzy, chyba żaden się nie zachował. To była taka wprawka; Bożena Balicka przepisywała, chyba u ojca Ludwika Wiśniewskiego. Wyszło bardzo źle, bo nie umieliśmy tego robić - było mało czytelne, pozamazywane.

Następnie zaczęliśmy powielać „Biuletyn Informacyjny” i „Komunikaty” KOR-u. Na zakup papieru stopniowo wydawałem pieniądze z założonej mi przez rodziców książeczki oszczędnościowej, przeznaczonej na wkład na mieszkanie spółdzielcze. Mógłbym znaleźć pieniądze u innych ludzi, ale bałem się zdekonspirowania tej formy działalności.

W KOR-ze „Komunikaty” robili na przebitce w formie „samizdatu”. Bogdan Borusewicz zaproponował KOR-owi przejście na technikę powielaczową i przekonał do tej idei Antoniego Macierewicza. Od tej chwili otrzymywałem od Antka maszynopisy, które następnie były powielane

w ilości 100-200 egzemplarzy i w całości przekazywane do Warszawy. Zależało nam na tym, aby SB była przekonana, że ta „produkcja” ma miejsce w Warszawie.

Na przełomie roku 1976/77 ten mały powielacz oddałem do Warszawy (przewiół go Marcin Gugulski, kurier Antoniego Macierewicza), bo dostaliśmy większy, nazywany przez nas „Zuzia”.

### **Jacek Bocheński:**

Zastąpienie przepisującej ręki powielaczem było aktem przełomowym. W znacznej mierze zadecydowało o sukcesie całego przedsięwzięcia. Druk „Zapisu” na powielaczach przejęła wkrótce lepiej zorganizowana Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa w Warszawie pod kierunkiem Mirosława Chojeckiego. Nakład poszedł z czasem w tysiące.

### **Barbara Toruńczyk:**

Mirka poznałam u Jerzego Jedlickiego. Był młodszy od nas. My z Adamem Michnikiem - już po doświadczeniach, po więzieniu - byliśmy „klasykami rewolucji”... Mirek się prawie nie odzywał, tylko przycupnął u naszych stóp, pożerał nas oczyma i słuchał. Był młodym, zdolnym, bardzo dobrze zapowiadającym się chemikiem. Potem, w 1976 roku w Radomiu, niosąc pomoc represjonowanym robotnikom i ich rodzinom, zyskał sławę znakomitego organizatora. NOWa zaczęła się od razu bardzo szybko rozwijać.

### **Seweryn Blumsztajn:**

Mirek, jako młodszy od nas, mniej doświadczony, nie miał tego obciążenia, co my - że nie można się posunąć poza maszynopis. Dzięki niemu w NOWej pojawiły się powielacze amerykańskie, pojawiły się pieniądze. Trzeba do tego dodać jego obrotność, nieludzką wytrzymałość, ogromną energię, umiejętność tworzenia wokół siebie szczególnej aury i specyficzny talent organizacyjny.

### **Mirosław Chojecki:**

Dość łatwo przekonałem chłopców z Lublina, żeby słowo „Nieocenzurowana” zamienić na „Niezależna”, bo znaczy ono więcej. Nieocenzurowane mogą być lewe publikacje czy różne druki wewnętrzne, a nam chodziło o coś zupełnie innego: o niezależność - nie tylko wydawania, ale przede wszystkim - myślenia i działania społecznego.

Ważne było spotkanie u Joli i Macieja Rayzacherów w ich daczce w Kamienicy Królewskiej. Odbyło się parę dni po tym, jak nas na 22 lipca 1977 wypuścili z więzienia. Wtedy pojawił się Adam Michnik (wprawdzie wrócił z Paryża wcześniej - 1 maja, ale go zaraz zamknęli razem z nami, aresztowanymi po demonstracjach po śmierci Staszka Pyjasa w Krakowie). Postanowiliśmy się spotkać w czasie weekendu w trochę szerszym gronie, żeby spokojnie przedyskutować sytuację. Robotników represjonowanych po wydarzeniach czerwcowych, o których upominał się KOR, wypuszczono, prawie wszyscy dostali jakąś pracę - zwyciężyliśmy! No więc co - rozwiązać się?

Rozważaliśmy, co dalej. Wyszło na to, że KOR-u nie będziemy rozwiązywali, tylko przekształcimy go w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” oraz że stworzymy nową gazetę - „Głos” (Adam Michnik i Antek Macierewicz mieli być redaktorami). Skonstruujemy też wydawnictwo, które nie będzie podporządkowane wyłącznie bieżącym potrzebom politycznym, lecz przełamie państwowy monopol wydawniczy, publikując wartościowe artystycznie i intelektualnie książki, które nie mogą się ukazać w wydawnictwach oficjalnych. Chodziło też o to, żeby to nowe wydawnictwo wyprowadzić spod skrzydeł KOR-u, by nie trzeba było ze wszystkimi jego członkami uzgadniać każdej wydawanej pozycji, a zarazem - żeby działaniami wydawnictwa nie obciążać KOR-u w oczach władz.

### **Sonia Pigłowska:**

Pierwszy raz, wiosną 1977, było tak: Mirek przyszedł do nas w którąś niedzielę rano i mówi, że potrzebuje dwieście czy trzysta sztuk ulotek dla „Ursusa” i to natychmiast, bo za dwie godziny ktoś po nie przyjeżdża. Miał matrycę hektograficzną. Próbowaliśmy, czym się dało - butelką, wałkiem, przez wyżymaczkę. Wyszło słabiutko, odbiło się głównie po bokach.

### **Mirosław Chojecki:**

Technika hektografu polega na tym, że pisze się tekst na papierze kredowym kalką hektograficzną. Trzeba walić bardzo mocno i wtedy tusz z kalki przykleja się do papieru od tyłu - tekst odwrócony pisze się kalką jakby w negatywie. Z jednej kalki, przekraczając przez wyżymaczkę, można zrobić do 200 odbitek, ale pod warunkiem, że każda kolejna kartka jest nasączana spirytusem mniej więcej równomiernie.

Kładzie się papier z tekstem z kalki na karton, smaruje spirytusem, na to kartkę papieru, kolejny karton i wsuwa między wałki wyżymaczki. Na ogół jednak spirytusu było w jednym miejscu za dużo, a w drugim za mało; równomierne działanie płynu było niemożliwe, bo taka pralka, jeśli już w ogóle udało się ją znaleźć, była tak wysłużona, a wałki wyżymaczki tak wyrobione na środku, że docisk był nierówny.

### **Sonia Pigłowska:**

Niedawno, przed paru laty, Mirek nas komuś przedstawiał i powiedział tak: „A to są właśnie moi przyjaciele, u których była pierwsza drukarnia NOWej”. Myśmy z Bogdanem po prostu zaniemówili z wrażenia. Bo nie wiedzieliśmy, że byliśmy pierwsi!

### **Ryszard Knauff:**

Nakłady były malutkie - kilkaset sztuk, potem się to rozdawało lub sprzedawało znajomym. Wspaniałe uczucie, że nareszcie możemy przełożyć energię na pozyteczną akcję!

Byliśmy na tyle naiwni, że paliliśmy odpadki w wannie; myśleliśmy, że jak zatrzymamy za sobą ślady, to uda nam się zakonspirować, ale już wkrótce miałem ogon - wiedzieli, kogo obstawiać.

### **Mirosław Chojecki:**

Oczywiście zaczęliśmy od drukowania materiałów KOR-u i „Biuletynu Informacyjnego”. Potem, kiedy już odbyły się procesy rewizyjne robotników w Sądzie Najwyższym, uznaliśmy, że trzeba jednak zachować dla potomności wspaniałe mowy obrończe naszych adwokatów: Andrzeja Grabińskiego, Witolda Lis-Olszewskiego, Jana Olszewskiego, Władysława Siły-Nowickiego i Stanisława Szczuki. Zostały spisane i wydane na powielaczu w dwóch broszurach: „...w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” oraz „Wypadki czerwcowe”. Po raz pierwszy podaliśmy wydawcę: „Nakładem Komitetu Obrony Robotników”. Zrobiliśmy to w kwietniu-maju 1977 we dwoje z Bogusią Blajfer, u Pigłowskich na Wałbrzyskiej; papier dowoził nam Rysio Knauff.

Z tydzień siedzieliśmy u Pigłowskich, drukowaliśmy, jedliśmy, spaliśmy - nie wychodząc. Zrobiliśmy wtedy po 500 sztuk obu broszur - zużyliśmy 64 ryzy papieru, przy czym każda z nich ważyła dwa i pół kilograma, zatem łącznie sam papier ważył 160 kilogramów. To był problem - trzeba było jakoś to wszystko do tego mieszkania w bloku niezauważalnie wnieść, a potem z niego wynieść. Chłopcy do taszczenia papieru używali bardzo mocnych toreb do rowerów składaków; były jednym z naszych ważniejszych środków transportu.

Nie przypominam sobie, aby były kłopoty z pieniędzmi; spirytus prawie nic nie kosztował, z papierem było trochę gorzej, ale wielu ludzi było zainteresowanych tym, żeby coś zostało wydane...

Dwa tygodnie po wydrukowaniu jednej z pierwszych broszur nakładem KOR-u zobaczyłem ją u człowieka w autobusie - czytał ja owinięta w „Trybunę Ludu” - i poczułem, że rzeczywiście poszło w świat!

### **Sonia Pigłowska:**

Mieliśmy dwa pokoje, 40 metrów kwadratowych. Duży pokój zostawiało się im, a my w małym; dziecka jeszcze nie było. My szliśmy normalnie do pracy, a oni drukowali.

Wszystko tak szybko się toczyło. Antek Roszak i Zenek Pałka przyjechali z Wrocławia, przyszli do mnie do pracy i powiedzieli, że chcą drukować; pojechaliśmy do nas do domu i od razu bardzo sprawnie się do tego zabrali. Powielacz nie był głośny, chyba ręczny. Pracowali dzień i noc. My im pomagaliśmy - trzeba to było rozkładać, rozwieszać, żeby schło; wszystko działo się w tym samym pokoju- spirytusem śmierdziało aż na klatce schodowej. Suszyło się paskudnie. Chłopcy z Wrocławia przyjeżdżali z mocnymi żarówkami, rozwieszali je na drucie pod sufitem; łuna była straszliwa, a mieszkanie na siódmym piętrze - widoczne z daleka.

### **Janusz Krupski:**

Zaczęliśmy dawać Warszawie sprzęt. Mieliśmy już kilka powielaczy... I wtedy dostałem pierwsze pieniądze z KOR-u - sześćset dolarów, wówczas to było bardzo dużo pieniędzy. Sobie zostawiłem sto na nasze potrzeby, a pięćset przekazałem Jeglińskiemu do Paryża.



Wkrótce okazały się w NOW-iej „Myśli o działaniu” Kuronia, co mi się nie spodobało, bo łamało zasadę apolityczności wydawnictwa. Pęknięcie nastąpiło jednak przy trzecim numerze „Zapisu” - to był „Kompleks polski” Tadeusza Konwickiego. Mieliśmy już wtedy duże trudności lokalowe, już nas namierzyła esbecja, nie było gdzie drukować. Ogromnym wysiłkiem zrobiliśmy ten trzeci „Zapis” i wtedy nagle... dostaję z Warszawy „Zapis” nr 3: pięknie wydany w technice offsetowej, zrobiony - jak to się mówiło - na dojsciu, w profesjonalnej drukarni...

Byliśmy tym poirytowani. Cała nasza praca poszła na marne. Co więcej, niektóre kręgi kościelne formułowały pod naszym adresem pretensje, że jesteśmy manipulowani przez KOR. Dostrzegliśmy też poważne dysproporcje środków pomiędzy KOR-em a nami. Postanowiliśmy więc rozstać się z NOW-ą i stworzyć własne pismo i wydawnictwo. Tak powstały „Spotkania”.

### **Mirosław Chojecki:**

NOW-a wystartowała dzięki dość dużej pożyczce, jaką dostaliśmy z KOR-u na „Kompleks polski” latem 1977. Spłacaliśmy ją potem długo, głównie w naturze - drukując bezpłatnie materiały KOR-u, tylko po kosztach.

„Kompleks polski” zrobiliśmy w drukarni państwowej, czyli na lewiznie, gdzieś we Wrocławiu. Szczegółów nie znam, załatwiał to Zenek Pałka, pierwszy drukarz Rzeczypospolitej, najlepszy.

Istnieli w Polsce jehowici, wydawali potajemnie jakieś swoje druki, a ponieważ nie mogli tego robić legalnie, więc wszystko załatwiali na lewo w państwowych drukarniach. Tamci drukarze też potrzebowali zarobić, a na pewno taka fucha była bardziej dochodowa niż państwowa dniówka. Zenek załatwił nam dojscie przez znajomego, Jurka Staszczyka, który miał kontakty z jehowitami. Powiedział, że można tam wydrukować „Zapis”, że nakład będzie można nawet zszyć i obciąć, ale tylko w przypadku, gdy nie będzie żadnej okładki. No i oczywiście cała operacja będzie kosztować drożej, bo w cenę państwowych drukarzy wliczone jest ich ryzyko.

### **Konrad Bieliński:**

To był niesamowity skok jakościowy; dotąd było kilka fioletowych broszurek, śmierzących spirytusem albo - jak tomik wierszy Barańczaka - z literkami w obwódkach tłuszczu, niewyraźnych, często nieczytelnych. A tu śliczna, czysta książeczka - wspaniała lektura akurat na święta Bożego Narodzenia. Ale wiadomo było, że to jest rzecz jednorazowa, ewenement, a nie rozwiązanie naszych problemów.

### **Grzegorz Boguta:**

W mieszkaniu Mirka Chojeckiego na Sarbiewskiego robiliśmy we dwóch okładkę do „Kompleksu polskiego”. Po raz pierwszy w życiu robiliśmy coś na sitodruku i nie bardzo nam się to udawało... Dlaczego u Mirka - w najgorszym z możliwych miejsc? Bo sitodruk to rzecz drobna, tania, którą można wyrzucić przez okno, zniszczyć. A może chodziło też trochę o przyjemność, że gramy im na nosie... No i o test, czy potrafimy to wydrukować.

Potem przestałem drukować i zająłem się dystrybucją. Logistyka zmieniała się niemal z dnia na dzień - w pierw rozwoziłem „urobek” w różne miejsca w Warszawie: do Radziwiłłów na Płatowcową (dla Lublina), do Sławka Bieleckiego na Wilczą; po 25-50 egzemplarzy jednego tytułu do każdego miejsca. Od początku 1978 roku zaczęliśmy stosować system piwniczny: w takiej piwnicy był zeszyt, w którym się wpisywało, co jest przeznaczone dla kogo, natomiast ci, co odbierali „urobek”, wpisywali, co biorą. .

Konrad z Mirkiem zajmowali się produkcją, a ja byłem kimś w rodzaju księgowego; te rozliczenia trzymałem w najbardziej trywialnym miejscu - u siebie na klatce schodowej, w liczniku gazowym.

### **Emil Broniarek:**

W 1978 roku pracowałem w „Ursusie”. Jakiś chłopak przyniósł mi „Robotnika” i gdy go przeczytałem, od razu mu powiedziałem, że chce poznać ludzi, którzy to robią. On mówi: „Postaw gorzałkę, to cię zapoznam”. Więc przyniosłem litr wódki, a on w śmiech, bo się okazało, że żartował. Wziął mnie na zebranie i tam ich poznałem; był Jacek Kuroń, Witek Łuczywo, Henio Wujec, Mirek Chojecki, Konrad Bieliński ... moi bohaterowie.

### **Witold Luczywo:**

W „Robotniku” podawaliśmy w stopce redakcyjnej kontakty, ale ludzie nie dzwonili, ponieważ uważali, że to może być prowokacja SB. Czasami ktoś dzwonił, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy to prawdziwy numer telefonu.

### **Józef Chaj:**

Ja się właściwie nigdy nie deklarowałem, wszystko odbywało się w sposób naturalny. Jak Mirek mówił: „Trzeba zawieźć papier”, to pytałem tylko: „Gdzie? Kiedy?”. Jak Jacek chciał, żebym go zawiózł do Radomia, to nie pytał, tylko informował:

„Jedziemy do Radomia”. I jechaliśmy. Działo poczucie obowiązku i odpowiedzialności, solidarność. Ale też wstyd... Bo jak w 1979 roku po raz pierwszy od kilku lat dostałem wymarzony paszport i miałem wreszcie pojechać na Zachód, a okazało się, że właśnie trzeba zawieźć transport papieru ze sklepu w centrum do drukarni w jakiejś leśniczówce, to się potwornie bałem, że mi ten wyjazd przepadnie. Ale w ogóle nie wchodziło w grę, że mógłbym powiedzieć „nie”.

### **Jerzy Wocial:**

Mirek zaimponował mi stworzeniem NOW-ej. To był akt niesłychanej odwagi - może nawet brawury. Wydawnictwo nie było tylko faktem słownym - było realnością, swego rodzaju faktem kryminalnym. Mirek wkroczył w tę pustkę, gdzie wszystko mogło się wydarzyć, gdzie absolutnie wszystko było możliwe.

### **Bogdan Pigłowski:**

Mirek miał zwyczaj przychodzić i mówić, co jest do zrobienia. Po prostu - trzeba jechać do Radomia, odszukać takich i takich, zebrać informacje na temat represji, nagrać relacje na magnetofon, żeby stanowiły materiał dla obrońców w procesach. To był mój pierwszy ruch wspomagający Mirka. Potem już było drukowanie u nas, na Wałbrzyskiej. No i różne drobne zlecenia: kupić 20 ryz papieru na fałszywy rachunek i, co gorsze, donieść je do i z autobusu albo wziąć od Jacka Bocheńskiego - mieszkaliśmy wtedy blisko - powielacz (też kilkadziesiąt kilogramów).

Zakładało się, że jak Mirek coś zleca, to wie, co robi, ale potem okazywało się różnie.

Rozgłośnię zachodnie już o tym mówiły; zdawaliśmy sobie sprawę, że Mirek jest uczestnikiem bardzo doniosłych wydarzeń. I ta dysproporcja sił: potężny aparat i garstka młodych ludzi - to było poruszające.

### **Witold Łuczywo:**

O Mirku mówiło się „dyrektor”. Jego rola była zasadnicza. Potrafił połączyć tę zbieraninę bardzo różnych ludzi. Jest bardzo koncyliacyjny, co w zarodku niwelowało wiele konfliktów. Wprowadził też pewne skomercjalizowanie całej tej działalności, co nadało jej impet i jakoś ją profesjonalizowało.

Ale od pewnego momentu to się już trochę robiło samo; trzeba było tylko poruszyć odpowiednią sprężynę - i na tym polegał jego talent organizacyjny. Byliśmy tak zmotywowani - w przeciwieństwie do tamtych- że to działało. Z czasem przychodziły tłumy ludzi, nie wiedzieć czym powodowane: jedni proponowali lokale, inni samochody, jeszcze inni organizowali benzynę.

### **Seweryn Blumsztajn:**

Najtrudniej było z lokalami. Mieliśmy mało znajomych z willami, społeczeństwo było ubogie. Pamiętam jedną z wczesnych drukarni - jakiś niewykończony dom w Konstancinie, z ogromnymi piwnicami, i właściciele - spauperyzowana arystokratyczna rodzina, dziwni ludzie, kompletnie zagubieni, przerażeni światem, którzy czuli się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy my tam byliśmy.

### **Jerzy Wocial:**

Mieszkałem sam, miałem kawalerkę w dużym domu na Stołecznej. Paweł Bąkowski, którego znałem jeszcze ze szkoły podstawowej, spytał, czy bym się nie zaangażował. Ja - że tak, no i wkrótce zgłosił się do mnie Mirek Chojecki i powiedział: „Słuchaj, przyjdzie do ciebie człowiek, trzeba złożyć nakład Brandysa”. Za parę dni przychodzi przedziwny typ: włosy na sztorc, broda jak u Wernyhory, suknie w nieładzie, zielony plecak - umówić się. A potem jacyś ludzie z potwornymi pakami, okropnie śmierdzącymi denaturatem, przynoszą 200 egzemplarzy Brandysa. Nie mogłem sobie z tym sam poradzić, poprosiłem więc o pomoc serdecznego przyjaciela, Tomka Jastruna.

Trzeba to było wszystko poskładać kartka po kartce, potem zbić z obu stron ciężkim młotkiem,

spiąć specjalnymi spinaczami, kombinerkami skrócić druty, na to nakleić okładkę... I okazało się, że u mnie nie można tego robić, bo walenie młotkiem słychać na pięć pięter. Przewieźliśmy więc wszystko na ulicę Kaniowską do Ewy Gruszeckiej, mojej ówczesnej żony, i tam w piwnicy zbijaliśmy, a gdy wszystko było gotowe - zawieźliśmy to do Mietka Grudzińskiego na ulicę Okrag, gdzie mieścił się sklepik z niezależnymi wydawnictwami.

### **Tomasz Jastrun:**

Po skończeniu studiów pracowałem w „Tygodniku Kulturalnym”. Szybko zorientowałem się, że uczciwa praca dziennikarska jest niemożliwa, bo można atakować poszczególnych ludzi, ale nie można pokazywać mechanizmów, które stanowią istotę zła. Wszyscy to widzieliśmy, ale koledzy tworzyli sobie różne taktyki. Ja przyjąłem taką, że mogę pracować w tym piśmie, jeśli równocześnie robię coś dla drugiego obiegu (związałem się z KOR-em i NOW-a), a wyjeżdżając w teren, wożę tam ze sobą literaturę zakazaną. Wiedziałem, że ryzykuję posadą, to było oczywiste. Zaczęły na mnie przychodzić donosy z prowincji i w końcu mnie wyrzucono.

### **Bogdan Pigłowski:**

Nie jestem typem rewolucjonisty. Myśmy byli tylko siłą wspomagającą. Co było do stracenia? Spokój, stopniowe układanie sobie życia. Ludzie tracili gwarancję pracy, możliwość studiów, mogli trafić do więzienia. Myśmy nie byli ludźmi znaczącymi w opozycji, więc nie mogliśmy liczyć na żadną pomoc, gdybyśmy stracili pracę; trzeba było rozważyć, czy stać nas na takie ryzyko.

### **Barbara Toruńczyk:**

Pod koniec lat 70. kryzys systemu zaszedł tak daleko, że aktywizowało to różne postawy i talenty ludzkie. Opozycja była ruchem w pełni demokratycznym, składającym się z wielu różnych spontanicznych działań, łączącym najróżniejszych ludzi i najrozmaitsze inicjatywy. Te puzzle niekoniecznie układały się w jeden obraz; nie było - jak to sobie wyobrażała esbecja - żadnej totalnej władzy, żadnej "centrali", każdy działał na własną rękę, tak jak potrafił - za to pełną parą. Każdy się spełniał na własną miarę i miał poczucie, że wiele od niego zależy.

Wspaniałą cechą polskiej opozycji tamtych lat było to, że właściwi ludzie znajdowali się na właściwym miejscu i znakomicie się rozumieli, że myśl polityczna, aspiracje intelektualne, twórcze spotykały się z potrzebą bezpośredniego działania, z talentami organizacyjnymi i osobistą odwagą. Każdy mógł się czuć centralnym punktem jakiejś konkretnej inicjatywy, a każda z tych inicjatyw była autonomicznym, samosterownym ośrodkiem ruchu opozycyjnego.

### **Jerzy Wodał:**

To było możliwe dlatego, że - wbrew pozorom - siła już wtedy nie była po stronie władzy... Władza już nie miała poczucia misji, swego historycznego znaczenia - i wiedziała o tym. A społeczeństwo było wprawdzie uśpione, ale oczekujące - i stanowiło dobre tło dla działań opozycji, co prawda środowiskowej, ale posiadającej ogromne zaplecze społeczne.

### **Mirosław Chojecki:**

To było środowisko dwustu-trzystu osób, wciąż się spotykaliśmy, stale były jakieś okazje, czyjeś imieniny. 3 marca na imieninach u Jacka, czy na dorocznym „balu u prezydenta” - czyli imieninach Jana Józefa - było co najmniej sto osób, a może i więcej. Trudno powiedzieć, bo to fluktuowało: jedni wychodzili, inni wchodzili.

Ja przychodziłem, bo zawsze miałem coś do załatwienia, a tam była okazja, żeby spotkać w jednym miejscu wielu ludzi.

### **Ewa Milewicz:**

Bankietów zawsze było dużo i przewijało się na nich mnóstwo ludzi, a że wszyscy byli bezpośredni, więc jak się kogoś poznało, to on od razu zapraszał na kolejny bankiet u siebie. To było towarzystwo całkowicie bezbarierowe. Przyjść mógł każdy. Od razu się było po imieniu. Od razu ktoś zapraszał. Od razu się było zaprzyjaźnionym. Rzadko były tańce, raczej takie snucie się, gadanie.

### **Józef Chajń:**

Spotykaliśmy się u Ewy Milewicz, u Adama Michnika, u moich rodziców w Alei Róż, w wielkich mieszkaniach notabli i w małych mieszkankach blokowych. To rzeczywiście były dzieci establishmentu, co nietrudno wytłumaczyć. Wielu z nas było wychowanych w tradycji socjalistycznej i w sposób liberalny; z drugiej strony - nasi rodzice w większości już przestali być ortodoksyjni, mieliśmy też dostęp do literatury zakazanej (z konfiskat cenzorskich, od znajomych). A poza tym, ponieważ mieliśmy od dziecka kontakt z politykami z pierwszych stron gazet, łatwiej było nam się buntować, nie czuliśmy respektu. Baliśmy się tego systemu mniej niż inni.

### **Ewa Milewicz:**

Bardzo rozwinięte było życie sąsiedzkie. Telefonów albo nie było, albo były na podsłuchu. Ktoś wpadał na herbatę, a przy okazji załatwiał się, co było do załatwienia; Magda Chojecka przynosiła mi bułkę z masłem, bo miałam gripę, a przy okazji...

### **Tomasz Jastrun:**

Na mojej klatce schodowej były trzy mieszkania, do których w każdej chwili mogłem zanieść coś na przechowanie. Mieszkałem na ulicy Urle 5, obok Heleny Łuczywo, która mieszkała na Korotyńskiego. Z moich okien widać było mieszkanie Wujców, blisko było do Andrzeja Wieczorka, nieco dalej mieszkali Monika Czeszko, Maciek Geller. I nawet u moich partyjnych znajomych, mieszkających obok, też mogłem w każdej chwili coś przechować, uzyskać pomoc. To była bardzo gęsta sieć, te okna w zasięgu wzroku, w których wieczorem widziałem ciepłe, przyjazne światła. I tak ulica po ulicy oswajaliśmy całe miasto.

Takie poczucie wsparcia w środowisku to wspaniała rzecz. Był też w naszym działaniu element

przygody, wszystko na tle szarego, bezbarwnego i beznadziejnego Peerelu, świata, który odbierał ludziom inicjatywę i energię. W elegancki, piękny sposób mogliśmy walczyć z imperium zła.

### **Jerzy Wodał:**

Byłem wobec tych ludzi pełen zazdrości i zachwytu, a także bezkrytyczny. Budzili ogromne zaciekawienie, fascynację, poczucie, że to jest "środowisko"; ja jestem sam, a oni już od dawna coś robią razem...

Był taki fason rewolucyjny - słowo rewolucja było w tym środowisku słowem obiegowym - że jesteśmy takimi trochę straceńcami, którzy wszystko postawili na jedną kartę i nie wiadomo, czy w ogóle czeka nas jakieś jutro. Był w tym może nihilizm, przekonanie, że przekroczyliśmy wszystkie bariery, że my tu karier nie zrobimy i że w związku z tym już na wszystko możemy sobie pozwolić. Wiązała się z tym pewna pogarda dla norm społecznych, może też wzmocniona lekceważeniem dla pogodzonych z losem, konformistycznych zjadaczy chleba, i płynące stąd przyzwolenie na styl bycia i obyczaje co najmniej swobodne, żeby nie rzec - rozwiązłe.

Oczywiście, takie uogólnienie - jak zwykle - jest krzywdzące; ludzie byli różni i bardzo różnie się zachowywali, mówię tu o pewnej ogólnej tonacji, która się pojawiała szczególnie pod koniec bankietów, kiedy „na placu boju” zostawali - w stanie nadwątlonym przez alkohol - ludzie z tak zwaną najmocniejszą głową. Niestety, milicja to wykorzystywała, na przesłuchaniach niejednokrotnie traktując nas szczegółami niekoniecznie gustownymi.

### **Seweryn Blumsztajn:**

Byliśmy młodzi i dobrze się bawiliśmy. Przecież wszystko nam się udawało - dlaczego mieliśmy się źle bawić?! Czuliśmy się w pewnym sensie uprzywilejowani. A społeczeństwo miało takie poczucie bezsilności.

### **Witold Łuczywo:**

Jak ktoś równo pił wódeczkę, palił trawkę, miał luz (owszem, erotyzm też był), to wchodził w to środowisko bezproblemowo. A jak ktoś był sztywny, to się nie załapywał. Myśmy się nie upijali jakoś straszliwie, ale życie towarzyskie było nadzwyczaj bujne.

Dziś w ogóle nie potrafię zrozumieć, jak mogłem to znieść: rano do pracy, a byłem tam pod lupą, później organizowanie druku, papieru, kolportażu, potem bankiety do drugiej-trzeciej w nocy... Niemal codziennie zdarzały się jakieś okazje, a poza tym właśnie wtedy najbezpieczniej było wymienić informacje, bo esbecy na ogół nie wchodziłi. Bogate życie towarzyskie to była też mimowolna samoobrona, bo esbecy nie rozumieli, jak można być tak otwartym, mieć tylu znajomych, przyjaciół; oni się czuli wyizolowani.

### **Grzegorz Boguta:**

Ta swoboda, ten luz mogły wynikać z potrzeby kompensacji. Ludzie zaangażowani w opozycję mieli nerwowe życie - nieustanny stres, brak prywatności... Co w tym dziwnego, że trzeba było się odprężyć? Co najmniej raz na tydzień była jakaś impreza, a na niej dużo alkoholu i zawsze dochodziło do jakichś spięć - czasem o dziewczyny, często o czyjeś prowokacyjne zachowania. Najczęściej Michnik chciał się bić ze Szpotańskim, bo „Szpot” go lubił zaczepiać - powiedział żartem coś antysemitckiego i Adam się na to za każdym razem nabierał, zaczynali się z sobą szarpać...

Lata 70. były bogate w życie towarzysko-erotyczne. Studenci licytowali się, kto więcej razy siedział po 48 godzin... Tak tworzyły się hierarchie towarzyskie.

### **Seweryn Blumsztajn:**

Środowiskowość chroniła nas przed infiltracją - znaliśmy się od lat i esbecja nie miała ludzi, którzy by odpowiadali kryteriom tego środowiska. A zresztą - co mieliśmy do ukrycia? Wyłącznie sprawy techniczne; to, gdzie się drukuje. Wszystko firmowaliśmy własnymi podpisami i ta nasza jawność działania była porażająca dla esbecji. Nie mogli zrozumieć naszych stosunków, to było dla nich nie do pojęcia.

### **Jerzy Wodał:**

To środowisko wcale nie było otwarte, było w pewien sposób nawet ostracystyczne. Także wobec innych środowisk opozycyjnych. Pamiętam spotkanie u Anny i Tadeusza Walendowskich, gdzie był Leszek Moczulski. Sam przeciw wszystkim spokojnie bronił swojego stanowiska, atakowany z niezwykłą agresją i zaciętością.

Był też wtedy w modzie pewien ton dowcipów, powiedziałbym - dyskredytujących; taki dowcip działał bezlitośnie, jak gilotyna. Na jednym z przyjęć pomyślałem, że dostać się na języki takich ludzi, to straszne. .

Zwróciło też moją uwagę, że są już i klakierzy, którzy czują, co w trawie piszczy, i wiedzą, na kogo się trzeba orientować. Bo ta opozycja demokratyczna wcale nie była demokratyczna, wbrew swym własnym zasadom założycielskim. Byłem świadkiem sytuacji, kiedy człowiek, mający w tym środowisku miejsce absolutnie wyróżnione, z najwyższym lekceważeniem potraktował osobę bardzo pomocną, rzetelną, pracowitą i oddaną, ale skromną, nie mającą nazwiska ani pozycji.

Było to mocno zhierarchizowane środowisko, dające sobie prawo do pewnej arogancji wobec innych. Ta inność mogła mieć charakter ideowy lub zgoła towarzyski.

Zasadą hierarchii było dobre nazwisko, pozycja zawodowa, słowem - to co się przynosiło ze sobą. No a także - opozycyjny życiorys. Liczyła się też żywa inteligencja, błyskotliwy dowcip, szybki refleks, efektowne walory intelektualne i towarzyskie, to że jest się - jeśli nie kimś znanym, to przynajmniej interesującym. Gratyfikacją stawało się bycie zauważanym, zapraszany, drukowanym.

### **Ryszard Knauff:**

Zebraliśmy się - Mirek, Adam Michnik, ja i Marysia Pedecka u niej na Mokotowie (Grzegorz Boguta dołączył chyba po miesiącu) - i to było kolegium redakcyjne NOW-ej. A potem przyłączały się inne osoby. To się toczyło jak kula śniegowa, zaczęło przybywać ludzi, pojawił się Tolek Lawina; każdy strzelał tytułami... Pierwszy wydany przez nas tytuł to „O pewnych przemianach etyki walki” Marii Ossowskiej.

Pierwsze publikacje to były małe broszurki. Kryteria były takie: po pierwsze - żeby to była książka zakazana, po drugie - żeby miała dużą wartość intelektualną, po trzecie - żeby była mała. Ossowska była idealna pod każdym względem.

### **Mirosław Chojecki:**

Liczyliśmy na to, że istnieją stopy cennych rękopisów odrzuconych przez cenzurę. A okazało się, że szuflady są puste, że pisarze prawie niczego nie mają. Chcemy robić wydawnictwo literackie, a tu nie ma literatury. Co wydawać?

Dowiedzieliśmy się, że Andrzej Kijowski ma trochę podrzuconych tekstów. Poszliśmy do niego z Adamem z propozycją, że mu je wydamy - ucieszył się. To był precedens. Bo zdarzało się już, że któryś z pisarzy krajowych - na przykład Stefan Kisielewski pod pseudonimem „Staliński” - opublikował coś za granicą.

Ale w kraju!? I rzeczywiście - jeden z naszych pierwszych tomików to było „Niedrukowane” Kijowskiego. Bariera niemożności została pokonana.

Trudno mi powiedzieć, czy fakt powstania NOW-ej pobudził twórczość krajową. Większość naszych pomnikowych dzieł, jak „Kompleks polski”, „Nierzeczywistość” czy „Miazga”, była pisana z nadzieją na wydawcę państwowego. Może „Mała apokalipsa” Konwickiego i „Wielki strach” Strykowskiego powstały już pod kątem NOW-ej.

Spotykaliśmy się z Marysią, Adamem, Grzesiem, Rysiem i Konradem i decyzje podejmowaliśmy rzeczywiście kolegalnie: co wydawać, w jakiej kolejności, w jakim nakładzie.

Wszystko konsultowaliśmy też z ekipami drukarzy, które to miały robić. Różne propozycje składali nam sami drukarze; byli zresztą wśród nich tacy ludzie, jak Janek Walc (pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich) czy Sewek Blumsztajn.

Ale chodziło nam i o to, żeby chłopcy w drukarniach mieli poczucie, że mają wpływ na to, co robią. Zakładaliśmy, że oni drukują nie tylko dla pieniędzy, ale także ideowo, a znacznie lepiej się pracuje, kiedy ma się przekonanie, iż pozycja, która się robi, jest ważna i ludzie na nią czekają.

Zależało mi na tym, aby drukarze byli zaangażowani, by mieli poczucie współuczestniczenia, a nie byli tylko ludźmi do wynajęcia; także ze względów bezpieczeństwa - żeby SB miała do nich trudniejszy dostęp. Nikt przeciw temu nie oponował.



Wydaje mi się, że to był mój pomysł, ale nie jestem tego pewien; pracowaliśmy naprawdę zespołowo. Na pewno wszystko, co było w organizacji NOW-ej dobrego, trzeba podzielić między Konrada, Grzegorza i mnie.

**Konrad Bieliński:**

Moim zdaniem, NOW-a nie miała jakiegś konsekwentnej linii programowej. Niemal każdy z nas, także drukarze, coś przynosił i mówił, że warto by to wydać; potem były dyskusje, a potem książkę się robiło albo... Działy się czasem różne dziwne rzeczy - na przykład najpierw na jakąś książkę długo nie było matryc, potem dla odmiany te matryce gdzieś ginęły; wszystko tak się wlokło, że wreszcie maszynopis wpadał w czasie którejś rewizji... Słowem - Adam miał poczucie, że jak „Choj” bardzo czegoś nie chce, to nie powie jasno „nie”, tylko jakoś to uwali. To nie było przecież normalne wydawnictwo, panowała absolutna dominacja techniki nad meritum, więc Adam nas się trochę bał, nie miał w pełni zaufania. Bo zaraz się zaczynało: „Ta książka za duża...”, „A to tylko na offsecie...”, „Na powielaczu to nie pójdzie...”. Tysiąc powodów, dla których czegoś się zrobić nie da.

**Barbara Toruńczyk:**

Wpływ Adama Michnika, który w wyjątkowy sposób łączył w sobie dyspozycje intelektualne z cechami działacza politycznego, na program wydawniczy NOW-ej był nie do przecenienia. W NOW-ej i wokół niej każdy był na swoim miejscu - i sprawni organizatorzy, którzy się w tym wyżywali, i ludzie, którzy umieli docenić połączenie czynnego życia politycznego z myślą intelektualną, artystyczną, kulturalną.

**Konrad Bieliński:**

Adam Michnik był bardzo ważny, jeśli chodzi o książki, a potem linię polityczną pisma „Krytyka”. Miłosz - to całkowicie zasługa Adama. Ale miał też swoje antypatie; był na przykład przeciwny Józefowi Mackiewiczowi i rzeczywiście, niczego z niego nie wydaliśmy.

**Mirosław Chojecki:**

Na pewno propozycje Adama stanowią co najmniej połowę tego, co wydaliśmy. Z drugiej strony, wielkiego wyboru nie było. Te tytuły dziś wydają się oczywiste.

Adam pełnił istotną funkcję w kontaktach z autorami, był znany w środowisku pisarzy, miał do nich dostęp. W tym środowisku byli też Jacek Bocheński i Wiktor Woroszyński; także mieli swoje propozycje. Jacek, notabene wówczas mój teść, wiedział, kto co pisze, kto co ma na biurku.

Wielką zasługą Adama były kontakty. Ja z redaktorem Giedroyciem nie miałem wtedy żadnych związków i to, że dostaliśmy od niego prawo przedruku wszystkiego, co wydał Instytut Literacki, to była osobista zasługa Adama.

**Konrad Bieliński:**

Jedną z pierwszych naszych broszur był przedruk Jakuba Karpińskiego z „Kultury” paryskiej pod tytułem „Pochodzenie systemu”; autor podpisany pseudonimem „Tarniewski”. Dobrze to pamiętam, późną jesienią 1977 poprawiałem to własnoręcznie - przycinałem, kleiłem matryce, bo miały za duże marginesy i nie mieściły się na powielaczu spirytusowym.

### **Mirosław Chojecki:**

Tę broszurkę „Marka Tarniewskiego” wydrukowałem na Częstochowskiej u mojej mamy; wyjechała akurat gdzieś do sanatorium. Potem już się domyślała, że coś knuje. Nie powstrzymywała mnie, miała tylko pretensje, że dopiero z Monachium, z Radia Wolna Europa, musi się dowiadywać, co robi jej syn.

### **Konrad Bieliński:**

Zamierzenia były duże, ale w pierwszych miesiącach zrobiliśmy tylko parę broszurek - ten „Tarniewski” miał czterdzieści stron, nakład ze 150 sztuk, mało co na tym spirytusie było widać.

Powielacz spirytusowy nadawał się, aby drukować ulotki. Żaden z nas się jeszcze na tym nie znał: chemik, matematyk, filozof - to nie było najlepsze przygotowanie...

### **Mirosław Chojecki:**

Ramka wymagała naciągniętej na nią siatkowej tkaniny (typu szyfon). Przygotowywało się specjalną matrycę białkową. Najpierw pisze się na maszynie bez taśmy na specjalnym papierze, tak zwanej chińskiej bibułce. Czcionki wybijają to, czym jest nasączona bibułka i tak powstaje szablon. Przez te matryce i rozpiętą na ramce siatkę odbija się ręcznie tekst, strona po stronie, pociągając po siatce specjalną rakłą z farbą; jeden ruch - jedna kartka, drugi ruch - druga kartka...

Jest to metoda trochę podobna do sitodruku, ale w sitodruku ta matryca powstaje fotograficznie, więc można tam wrzucić dowolne rzeczy, także graficzne, a tutaj możliwe były tylko znaki z klawiatury maszyny lub rozwiązania najprostsze - jak nasze firmowe logo, to słynne duże „n”, które składało się z maleńkich kropeczek wykutych gwoździem.

Sitodruk jest techniką stosowaną do druku plakatów i rzeczy w niezbyt dużych nakładach. Jest do tego potrzebna tkanina jak szyfon, bardzo twarda, mocna, nierozciągliwa i niezbyt gęsto tkana. Rozpinamy ją - jak malarz płótno - na blejtramie, smarujemy światłoczułą żelatyno-galaretką, na to nakładamy fotodiapozytyw i naświetlamy specjalnym światłem. Pod wpływem światła ten żel twardnieje, resztę (do której światło nie dochodzi) wypłukujemy i w ten sposób otrzymujemy rodzaj matrycy; dodając farby i przesuwając po tkaninie gumową rakłą, robimy odbitki.

Jest to technika prosta, niekłopotliwa, nie wymaga dużych urządzeń, transportu; pozwala na dowolny format, dowolne kształty... Tyle że wyniki były słabe. W Polsce nie można było kupić takiej tkaniny, a galaretkę trzeba było sobie wymyślić.

Witek Łuczywo odsiedział swoje w bibliotece, przeczytał mnóstwo mądrych książek i wreszcie

wymyślił taką galaretkę, która się mniej więcej nadawała. A tkaninę dostawaliśmy potem z Zachodu. Pozostawał jeszcze problem farby, bo farba powielaczowa do tego zupełnie się nie nadawała.

### **Witold Łucywo:**

Jak zaczęliśmy drukować na dużą skalę, okazało się, że farba nie schnie wystarczająco szybko. Najpierw próbowaliśmy suszyć talkiem, co było kłopotliwe - całe mieszkanie zasypane na biało. Po wnikliwych studiach odkryłem, że pewna polską farbę typograficzną można w określonej proporcji połączyć z pastą do prania „Komfort”, by osiągnąć oczekiwany efekt. To odkrycie przejął potem ode mnie profesor Adam Kersten, który w ten sposób drukował swoje broszury Towarzystwa Kursów Naukowych; nawet później znany z tego powodu w środowisku jako „Lord Komfort”.

Drukowanie na ramce wyglądało tak, że była ona przytwierdzona jednym bokiem do podstawy i przeciągało się po niej ręcznie rakłą zakończoną gumowym wałkiem, który tę farbę rozsmarowywał. Jedna osoba podkładała papier, druga przeciągała rakłą, a trzecia podnosiła ramę; musiały więc to robić co najmniej trzy osoby.

Zdarzyło się kiedyś, że zostaliśmy tylko we dwoje z Basią Felicką i nie było komu podnosić ramy. I wtedy dokonałem wiekopomnego odkrycia: przywiązałem gumkę, taką do majtek, do końca ramy z jednej strony, a do lampy nad nią z drugiej i rama zaczęła sama odskakiwać. Zaoszczędziliśmy nie tylko jedną osobę, ale i farbę - okazało się, że ta gumka tak szybko odciąga „sito”, że zużywamy znacznie mniej farby. Wtedy z Basią wydrukowaliśmy ze 3 tysiące egzemplarzy w jeden wieczór.

### **Mirosław Chojecki:**

Tak się szczęśliwie złożyło, że Zbigniewowi Romaszewskiemu udało się - oczywiście przez jakieś podstawione osoby - kupić na wyprzedaży w ambasadzie USA, gdzie sobie wymieniali sprzęt biurowy, dwa wycofane przez nich z użytku IBM-owskie powielacze. To był przełom.

Pewnego dnia Zbyszek daje mi klucz i mówi: „Na Dworcu Centralnym, skrytka numer... Tu masz klucz”. I rzeczywiście, w skrytce był powielacz AB-Dick, który miał odegrać niezwykle rolę w dziejach niezależnego ruchu wydawniczego. Na razie jednak nie mieliśmy pojęcia, co z tym robić; nikt z nas dotąd niczego takiego nie widział. Co najmniej tydzień siedziałem z Tomkiem Michalakiem, geniuszem od spraw niemożliwych, w mieszkaniu, które wynajmował na Starym Mieście, żeby się zorientować, jak to działa.

Właśnie wtedy pojawił się u mnie Tomek Jastrun z przesyłką z Japonii. To były jakieś dziwne matryce, z jakimi nigdy dotąd nie miałem do czynienia. Dziwaczny format, nietypowa faktura. Próbuje i okazuje się, że pisze się na nich na maszynie bez taśmy i że chyba pasują właśnie do naszego nowego amerykańskiego powielacza. Był w nim bęben, na który zakładało się te matryce po posmarowaniu go farbą. Ale okazało się, że zamiast bębna smarować farbą, trzeba tę farbę wlewać do środka bębna, skąd dzięki sile odśrodkowej wyrzucana jest na zewnątrz (przez dziurki w

bębnie).

Na początku strasznie dużo papieru się marnowało, bęben wyrzucał za dużo farby i stąd wszystko było trochę za czarne, zamazane, ale i tak znacznie lepsze niż odbitki hektograficzne. No i zupełnie inny nakład - 3 tysiące odbitek z jednej matrycy, a potem, jak się już nauczyliśmy, to i 5 tysięcy.

Podajnik AB-Dicka przystosowany był do dobrego amerykańskiego papieru, a nasz papier wkręcał się w maszynę, darł matrycę i trzeba było wszystko zaczynać od nowa... Okazało się więc, że nasz człowiek jest lepszy niż amerykańska maszyna - zaczęliśmy podawać ręcznie. Początek to była gehenna; robiliśmy w tydzień to, co potem chłopcy robili w jeden dzień.

Pierwszy tydzień to był okres prób i błędów, w drugim już drukowaliśmy. Musieliśmy to robić w nocy, bo był za duży hałas; szczęśliwie mieszkanie Tomka było nad sklepem. No i sprawa dostaw papieru (który organizował Rysio Knauff) - na Stare Miasto nie było wjazdu. I tu pojawiła się Ewa Milewicz ze swoim inwalidzkim maluchem, który miał prawo wjechać wszędzie.

### **Konrad Bieliński:**

Podobno te amerykańskie powielacze były cztery. Jeden z nich Zbyszek dał mnie. Miałem na nim drukować prasę: „Biuletyn Informacyjny” i materiały Biura Interwencyjnego, prowadzonego przez Romaszewskich. Drugi dał Mirkowi - na drukowanie książek. O tym, że ja mam powielacz, wiedział tylko Mirek i odwrotnie - o maszynie Mirka wiedziałem tylko ja. W sprawach techniki panowała absolutna konspiracja, każdy wiedział tylko to, co musiał.

Romaszewscy dali mi jeszcze kontakt do znajomego, który pracował w zakładach „Mera-Błonie”. Miał w Błoniu kawalerkę - taką malutką kanciapkę - i tam we trzech (bywał też Tomek Michalak) mocowaliśmy się z tym urządzeniem, obwąchując wszystko detal po detal. Sprawdziliśmy, że brakuje mechanizmów podającego i odbierającego oraz wałka dociskowego. Był bęben i silnik - co najważniejsze. Silnik miał także piąty bieg, na którym pędził z taką szybkością, że ryżę papieru - potem, jak już działał - można było zadrukować w pięć minut.

Komplet wałków dorobiłem z kauczukowej rury do wielkich ciśnień, którą załatwił dla nas Piotrek Naimski u siebie w pracy. Dorobiłem wszystkie potrzebne części, także stół podający i odbierający. Kosztowało to wiele czasu i wysiłku.

### **Mirosław Chojecki:**

Ten AB-Dick i zrobiona na nim jesienią 1977 pozycja *Z książki zapisów GUKPPiW* [Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk] to był prawdziwy przełom. *Księgę* zrobiliśmy w 1000 egzemplarzy, fotograficzna okładka: drzwi Głównego Urzędu Kontroli na ulicy Mysiej. To był hit. Było tego za mało, wszyscy chcieli, a myśmy postanowili wręczyć książkę ważnym, opiniotwórczym ludziom w PRL - politykom, ludziom z rządu, parlamentarzystom, rektorom wyższych uczelni, żeby potem nikt z nich nie mógł powiedzieć: „nie wiedziałem”. Była długa lista

tych ludzi, myślę, że Jan Józef musiał maczać w tym palce. Poszczególne egzemplarze roznoszono po domach; ja się tym nie zajmowałem, ale wiem, że nosili między innymi Wojtek Ostrowski i Marek Kęsy - wręczali adresatom, niejednokrotnie do rąk własnych. Wtedy jeszcze nie było domofonów ani tak rozpowszechnionej ochrony. Nasi stali odbiorcy, kolporterzy i znajomi mieli potem pretensje, że dawaliśmy tamtym facetom, a dla naszych nie starczyło.

### **Konrad Bieliński:**

Był wtedy pomysł, żeby połączyć „Biuletyn Informacyjny” z „Głosem”, ale od razu doszło między nami do konfliktu, więc pomysł upadł i od tej pory ci z „Głosu” patrzyli na nas jak na konkurencję.

Kiedy drugi numer „Głosu” był już gotowy, Mirek obiecał Antkowi Macierewiczowi, że im go wydrukuje. Któregoś grudnia 1977 jesteśmy we dwóch z Mirkiem w Łazach pod Warszawa, w letnim domku Krzysztofa Turalskiego; potwornie zimno. Uruchomiliśmy powielacz Mirka, ale okazał się jeszcze gorszy od mojego, bo ażurowy bęben prowadzący matryce miał wgłębienia, które dawały białe plamy, a poza tym Mirek dorobił wałek dociskowy z aluminium (a powinien być z gumy), więc walenie metalu o metal robiło taki huk, jakby jechał traktor. Nie było żadnego odbieralnika, więc zrobiliśmy ograniczniki z kartonu, żeby powielacz nie rozrzucał kartek na wszystkie strony.

Byliśmy umówieni, że w Łazach będzie już na nas czekał przygotowany papier. Taka była zasada, że zaczynamy druk dopiero wtedy, kiedy wszystko jest na miejscu, bo każda dostawa w trakcie drukowania grozi wpadką, każdy transport może przyprowadzić ogon. Ale papieru było za mało.

Jeden dzień zajęło nam z Mirkiem uruchamianie maszyny, a potem dopiero zaczął sukcesywnie docierać papier i rozpoczęliśmy drukowanie. Dojechał Zenek Pałka z Wrocławia, żeby mnie zmienić, bo musiałem jechać do Warszawy na zebranie KOR-u. Wsiadłem do PKS-u o siedemnastej, a o dwudziestej weszła tam esbecja i zabrała nam ten powielacz - podstawę działania Mirka i NOW-ej. Koszt nieprzestrzegania reguł okazał się wysoki.

W najgorszej sytuacji był Mirek, bo stracił niezbędny sprzęt, podstawę swojego działania. W styczniu czy lutym 1978 przyszedł do mnie z propozycją, żebyśmy jednak połączyli wysiłki - ja miałem powielacz, a on miał już pewną strukturę.

Właśnie ukończyłem swoje dzieło - uruchomiłem mojego AB-Dicka, oswoiłem się z nim, zrobiłem mu skrzynię zamykaną na klucz z nosilkami i miejscem na całe oprzyrządowanie. Przenośna drukarnia wielkości niedużego stołu, ważąca około 50 kilogramów; mieściła się w samochodzie, w maluchu też, tylko trzeba było wyjąć siedzenie. Nieustannie jeździła.

Ten powielacz to było dzieło mojego życia i przez te wszystkie lata stanowił podstawę działania NOW-ej. Przychodziły potem z Zachodu nowe, dużo gorsze, wolniejsze; nigdy nie mieliśmy drugiego tak szybkiego powielacza. Europejskie zajeżdżaliśmy w ciągu pół roku, a ten

funkcjonował cztery lata. Najlepszy w Polsce podziemnej powielacz białkowy, z jednej matrycy wychodziło z niego nawet 7 tysięcy odbitek.

### **Mirosław Chojecki:**

Były dwa typy druków: te, które podpisywaliśmy firmowo i nie podpisane, robione usługowo: „Głos”, „Krytyka”, „Biuletyn Informacyjny”, „Spotkania”, „Komunikat” KOR-u, „Indeks”, „Postęp” (Henryka Baka). Firma, która chciała, żeby jej coś wydrukować, musiała mieć papier i przygotować matryce. Moje pytanie brzmiało: „Skąd mogę to odebrać?”. A gdy rzecz została wydrukowana, mówiłem, skąd oni mogą towar zabrać. Tylko ja wiedziałem, gdzie i przez kogo to jest robione. Drukarnie to była sprawa *top secret*.

### **Konrad Bieliński:**

Na przykład druk „Biuletynu Informacyjnego” uruchamialiśmy najczęściej z Jankiem Walcem i Zenkiem Pałą. To były 72 strony w nakładzie około 6 tysięcy egzemplarzy; a więc druk samego „Biuletynu” to było niemal pięćset ryz papieru, czyli ponad tona. Zwykle dodawaliśmy jeszcze ze sto ryz na jakąś mniejszą pozycję NOW-ej, drukowaną przy okazji. Inne stałe pozycje, jak „Zapis”, „Krytyka” czy „Puls”, były wprawdzie w mniejszym nakładzie (około 1500 egzemplarzy), ale dużo grubsze. Nie mieliśmy samochodu ciężarowego i woziliśmy wszystko głównie małymi fiatami.

Codziennie budziłem się rano, mając w głowie jedną myśl - kogo dzisiaj namówić na druk. Nie, nie chodziło o drukarzy, z nimi mieliśmy sprawę załatwioną; mój problem polegał na tym, żeby znaleźć nowe, bezpieczne - czyli nie u moich znajomych! - miejsce do drukowania, składowania etc. Chodziło o takich ludzi, których milicja nijak nie może połączyć ze mną ani z moimi znajomymi. To była moja największa zhora. A inne? Nowi współpracownicy, do których można mieć zaufanie, a takich - nie namierzonych przez esbecje - już prawie nie było. Szukało się kolegów ze szkoły podstawowej, odgrzebywało się jakichś starych znajomych, odświeżało kontakty nie uruchamiane od lat...

Ale z drugiej strony - to był czas nowych przyjaźni. Muszę tu wspomnieć o jednym człowieku. W pracowni malarza Jana Dziedziory pojawiliśmy się chyba w 1978 roku. Oddawał nam coś najbardziej prywatnego, własną oazę intymności, w której pracował, do której niechętnie dopuszczał nawet swoich najbliższych.

A służyła nam ona niemal do wszystkiego: jako magazyn wydruków, intrologatornia, miejsce składania książek, druku okładek... I miał zawsze tylko jedną prośbę: byśmy chwilę poczekali, zanim wejdziemy, aby mógł zakryć dzieła, nad którymi właśnie pracował.

Te ówczesne znajomości, przyjaźnie były jednym z filarów działalności podziemnej „Solidarności” w stanie wojennym. To między innymi w oparciu o nie przetrwaliśmy pięć lat w ukryciu. Wówczas Janek Dziedziora zapewniał nam sieć lokali - pracowni swoich kolegów malarzy, gdzie były nasze „skrzynki”. Niemal cała jego rodzina coś robiła dla „podziemia”, a jego mieszkanie było zawsze tym ostatnim miejscem, na które zawsze mogliśmy liczyć. Janek zmarł

w 1987 roku.

### **Grzegorz Boguta:**

Odczuwałem coś w rodzaju niesmaku wobec siebie: siedzę u znajomych, których nie widziałem od roku czy dwóch, piję z nimi herbatę, a tam na dole, w samochodzie, mam powielacz, który chce u nich zostawić... To były najgorsze momenty, bo wiedziałem, że ich oszukuję, czułem się jak komiwojażer, który chce im coś wcisnąć, i w dodatku to coś jest dla nich niebezpieczne. Ale bez wciągania coraz to nowych osób nie dało się pracować; wciąż ktoś wpadał, był zatrzymywany czy namierzony przez „bezpiekę”. Wciąż musieliśmy mieć dopływ świeżej krwi...

### **Seweryn Blumsztajn:**

Jeśli chodzi o „Biuletyn”, NOW-a dawała nam tylko powielacze, natomiast cała reszta należała do nas. Najtrudniej było znaleźć lokal na druk, zmagazynować papier - pięćset ryz, czyli ponad tonę przewieźć małymi samochodami (dostępne były głównie trzy maluchy), przygotować około dziesięciu miejsc na składanie, a także dostarczyć zszywacze - i tak co miesiąc. Potem, gdy „Biuletyn” był grubszy, wychodził trochę rzadziej.

Kiedys nie mogłem znaleźć miejsca na druk „Biuletynu”, był już o miesiąc spóźniony. Joasię Szczęsną ktoś strasznie napastował, czemu tego jeszcze nie ma, więc się wreszcie zdenerwowała i powiedziała: „O co ci chodzi? Nie możesz poczekać?”.

A ten człowiek jej na to: „Ja mogę, ale ode mnie bierze Gomułka - on się strasznie upomina i niecierpliwi”.

### **Mirosław Chojecki:**

O ile nasze adresy i nazwiska były jawne i podawane w każdej niemal publikacji, o tyle cała strona organizacyjno-techniczna wymagała najgłębszej konspiracji, ona też szczególnie interesowała SB. Tak więc kierowca NOW-ej to był najwyższy szczebel w hierarchii zaufania. Oczywiście, jeśli pominąć drukarzy. Kierowcy musieli mieć raczej czystą kartę w SB, bo jeśli zaczynali być obstawiani, trzeba ich było izolować od poważniejszych zadań - mogli za sobą przyprowadzić ogon, czyli obstawę.

Byli różni kierowcy do różnych poruczeń. Ewa Milewicz przez dość długi czas nie była zdekonspirowana, więc jeździła do drukarni. Mieszkała obok mnie, kontakt był niezwykle łatwy, niemal codzienny. Była bardzo dyspozycyjna, zarazem pełna humoru, dystansu do świata, ale niezwykle otwarta na innych, zawsze gotowa do pomocy, po prostu wspaniała osoba. Ewa to był nasz stały punkt oparcia. Jej inwalidzki maluch miał tę zaletę, że przynajmniej na początku nie budził zainteresowania milicji. Wadą było to, że był mało pakowny i że Ewie zawsze musiał asystować ktoś do noszenia. Chociaż czasami ten maluch zachowywał się, jakby był z gumy, szczególnie w przypadkach, kiedy nagle trzeba było ewakuować jakąś drukarnię, bo się paliło...

Najlepszy samochód - wartburga - miał Józek Chajna. Bardzo pakowny, z wielkim kufrem

i bardzo twardy, co było najważniejsze. Te lepsze samochody, jak się je porządnie załadowało – a papier waży - mocno siadały i przednie światła świeciły wtedy jak przeciwlotnicze; to zwracało uwagę. Ten wartburg Józia był genialny, można było nakłaść do pełna i nic nie było widać. Raz walnął na czerwonym świetle w busa, była milicja, spisali protokół i w ogóle nie zauważyli, że jest wyładowany.

### **Józef Chajn:**

Traktowałem to raczej towarzysko. Nie czułem się obstawiany; nigdy nie uważałem się za osobę tak ważną, żeby SB miała mi poświęcać tyle uwagi. Owszem, przed rokiem 1980 bywałem zatrzymywany na 48 godzin.

Raz na ulicy Sobieskiego jechali za nami, zatrzymali nas - normalna milicja, wzięli nasze dowody osobiste i poszli do radiowozu. Ja czekam, a Janek Narożniak chodzi sobie, chodzi i coraz bardziej odchodzi, aż odszedł całkiem... W ogóle nie wyobrażałem sobie, że można żyć bez dowodu osobistego, a on się urwał. Janek poszedł do mnie do domu i wszystko zostało wyczyszczone tak, że jak przyszli na rewizję, to już niczego nie znaleźli. Mnie wtedy zatrzymali na Mostowie, bo samochód miałem wyładowany bibułą, ale nie byli jacyś specjalnie na nas napaleni.

Kiedyś mnie zatrzymali na Mokotowie, z papierem. Pytają, co to, a ja na to, że wiozę papier do wytwórni papier-mache. Rozumieli, o co chodzi, więc wezwali dwóch facetów z Komendy Głównej, żeby mnie przesłuchali.

### **Sonia Pigłowska:**

Mirek przychodził do mnie do pracy, dzwonił z portierni, schodziłam, uśmiechał się i mówił, że ślicznie wyglądam... Już wiedziałam, o co chodzi. Mówił: „Sonieczku, kluczyki...” i było pewne, że mu te kluczyki - oczywiście, o nic nie pytając - dam.

Choć czasami się w duchu buntowałam; jednak stracić samochód, to nie było byle co... Mirek działał z zaskoczenia, a poza tym miał swoistą charyzmę, wdzięk.

### **Mirosław Chojecki:**

Bardzo dobry był Marek Kęsy ze swoim fiatem 125p, pakownym, z dużym bagażnikiem. Często używaliśmy samochodów braci Topińskich.

Jeździła także Bieta Ficowska. Wiadomo było, że jej mąż, członek KOR-u, jest obstawiany, więc mogła jeździć tylko tam, gdzie nie trzeba było się zbytnio obawiać dekonspiracji. Ale była cenna - ludzie mieli zwykle jakieś swoje zajęcia, a pewne rzeczy trzeba było czasem załatwić na gwałt... Bieta była pod tym względem idealna - pisała jakieś słuchowiska, bajki dla dzieci, więc w każdej chwili mogła wstać od biurka. Jediną wadą było to, że kobieta, więc kto zapakuje maszynę, papier, wydrukowany nakład? Potrzebowała asysty.

Od czasu do czasu wykorzystywaliśmy fiata 125p Haliny Mikołajskiej. Jeździli też czasem



Adam Hanuszkiewicz, Jan Łomnicki, Bronisław Geremek, Janusz Klekowski.

Staraliśmy się, żeby różne samochody służyły do różnych celów.

**Ryszard Knauff:**

Potrzebowaliśmy papieru w dużych ilościach, a sklepy papiernicze już zaczęły być obstawiane. Myślę, że obsługa tych sklepów miała polecenie meldować o większych zakupach, bo było trochę wpadek. Potem wzięliśmy kilka transportów już wprost z papierni.

Mieliśmy też zaprzyjaźnione sklepy i wywoziliśmy papier od zaplecza samochodami osobowymi wypełnionymi pod sufit, tak że niemal siadały na ziemi. Akcja na taki sklep musiała być błyskawiczna i dokładna. Tuż przed zapowiedzianym terminem dostawy papieru podjeżdżały na zaplecze nasze samochody: żółty maluch Ewy Milewicz, mój, Marcina Jabłońskiego, Czarka Króla - on sam nie, dawał tylko samochód.

W 1979 roku kupiłem dla NOW-ej samochód służbowy, starego grata (skodę spartak), który służył jako punkt przeładunkowy. Stał zaparkowany na placu Inwalidów i do niego się wrzucało różne rzeczy; w ogóle nie musiał jeździć.

**Mirosław Chojecki:**

Papier w garażu leżakował z reguły trzy miesiące, bo troszkę się obawialiśmy, że można w niego włożyć pluskwę - czyli malutki nadajnik, który nam w najbardziej niewłaściwym momencie sprowadzi na głowę milicję. Znajomy elektronik powiedział, że bateria powinna się wyczerpać w ciągu miesiąca - stąd, dla całkowitej pewności, te trzy miesiące leżakowania. Miałem kilka takich garaży u dalszych znajomych: na Ochocie, Żoliborzu, Stegnach. Po trzech miesiącach wieźliśmy papier do drukarni. To była najtrudniejsza operacja - trzeba było mieć pewność, że za nami nie jadą.

**Ryszard Knauff:**

Następną sprawą był lokal. Na początku ludzie się bali, ale zapewniało się ich, że to bezpieczne. Od pewnego momentu wiele osób postrzegало jako atrakcję to, że mogą oddać swoje mieszkanie na druk. Najpierw należało wszystko zgromadzić - papier, farby, maszyny, jedzenie na cały czas pracy, żeby potem nie wychodzić.

Czasem potrzebna była zmiana bezpieczników czy zaciemnienie okien. Kilka osób przyjeżdżało w takie miejsce, jedna po drugiej - przez dwa-trzy tygodnie zwoziło się stopniowo materiały i przygotowywało mieszkanie. Na koniec zjawiali się drukarze. I zaczynało się trzaskanie na okrągło, tydzień, czy dwa przez 24 godziny; czasem składanie i oprawa na miejscu - tak było najbezpieczniej.

**Mirosław Chojecki:**

Cały materiał musiał być przygotowany w drukarni, zanim weszli drukarze, żeby w trakcie niczego nie wozić i na czas ich pracy całkowicie zerwać kontakt, ale w praktyce wystarczyło, aby im się zerwał jakiś pasek, czy „wyrobiła” śrubka - i stawali. Przecież te maszyny były stare, zdezelowane i nadmiernie przez nas eksploatowane. I wtedy działał Ryś. Można było na nim polegać w każdej sytuacji.

Ja się do tego nie nadawałem, nie tylko dlatego, że nie miałem samochodu, ale przede wszystkim - że byłem ostatnim człowiekiem, który powinien pokazywać się w drukarni; byłem zbyt obstawiany.

Kto wiedział, gdzie się drukuje? Nikt, kto nie musiał. Wiedział właściciel lokalu (choć nie zawsze), trzech drukarzy plus jedna czy dwie osoby zajmujące się transportem.

To był czas, kiedy starałem się wiedzieć możliwie jak najmniej, tylko to, co konieczne. I tak wiele rzeczy musiałem trzymać w głowie: adresy, nazwiska - niczego się nie notowało.

Często drukowaliśmy w daczach, bo sprzęt jednak trochę stukał. Kiedyś Tomek Jastrun załatwił nam lokal na działce, u kogoś, kto niespodziewanie wrócił - trzeba się było wtedy błyskawicznie ewakuować...

Ekipa drukująca to były trzy osoby. Pracowało się non stop po szesnaście godzin - dwóch pracuje, jeden śpi. Po ośmiu godzinach jeden z pracujących szedł spać, a za osiem godzin wstawał i zmieniał następnego, i tak dalej, aż do wydrukowania całości. Oczywiście, wszystko w tym samym pomieszczeniu, często w zimnie, a zawsze w smrodzie oleju i farby. Stawka drukarzy była tak ustawiona, żeby przez siedem dób każdy z nich zarobił 7-10 tysięcy złotych, czyli na miesiąc niezłego utrzymania.

### **Ewa Milewicz:**

Drukarze w NOW-ej dostawali pieniądze dlatego, że nie mogli mieć żadnej innej pracy; my wszyscy gdzieś pracowaliśmy - ja na przykład w Wydawnictwie Prawniczym.

Dla nich druk jednej książki oznaczał, że muszą zniknąć na trzy tygodnie i w bardzo prymitywnych warunkach - najczęściej to były jakieś domki letniskowe, czy piwnice - pracować, jeść, spać... Nie mogli wychodzić, nie mogli włączać światła tak, by je było widać na zewnątrz, musieli robić zaciemnienie.

### **Mirosław Chojecki:**

Na ogół drukarze mogli wybierać, co chcą drukować. Pytałem: „Co byście chcieli?”. No i bywały problemy. Bo oni głównie chcieli dowalić Czerwonemu, a my - co do książek - z czasem dryfowaliśmy oraz bardziej w kierunku wartości artystycznych, intelektualnych. I wtedy drukarze się buntowali, mówili: „Za ptaszki i kwiatki ryzykować kryminału nie będziemy...”.

Były trzy zasadnicze ekipy drukarskie. Staś Łukaszczyk ze Stasiem Muskatem - ekipa górali

(Staś Łukaszczyk był instruktorem narciarskim). Janek Walc najczęściej drukował z Zenkiem Pałką i Sewkiem Blumsztajnem. Była też ekipa „Romaszki” - Romana Wojciechowskiego, w której niekiedy drukował Konrad Bieliński. Dalej były różne ekipy dwu-, a nawet jednoosobowe, które robiły małe rzeczy - na przykład tomiki poetyckie na sitodruku. Był Andrzej Zieliński, Tadek Korzeniewski, Antek Roszak; dochodzili też inni, jak Adam Grzesiak. Trzeba było to towarzystwo trochę wymieniać, żeby nie tworzyć ekipy, która byłaby zupełnie nowa; w każdej był ktoś doświadczony, kto znał sprzęt i potrafił drukować.

Starłem się dobierać ludzi pod względem charakterologicznym. Bo gdy przez tydzień czy dwa nieustannie siedzi się ze sobą w zamknięciu - jak w więzieniu - w pewnym zagrożeniu, na małej przestrzeni, w niewygodzie, to aby wytrzymać, potrzeba w ekipie kogoś, kto potrafi rozładować emocje i stres.

Ta praca wiązała się z ogromnym napięciem nerwowym, więc bardzo cenieni byli gawędziarze, jak na przykład Janek Walc czy „Romaszko”, który smacznie opowiadał - być może trochę konfabulował, ale miło było go słuchać. Trzeba też było dbać, aby w jednej ekipie nie było dwóch takich samych ludzi, na przykład gawędziarzy, żeby sobie nawzajem nie przeszkadzali. No i żeby się lubili, żeby im się dobrze razem pracowało i by mieli do siebie absolutne zaufanie.

Drukowało się w różnych miejscach, ale starałem się aby w miarę możliwości drukarze byli przywiązani do określonej drukarni. Szczególnie, jeśli to były mieszkania, bo ludzie, u których się to odbywało, mieli większe zaufanie i wtedy naszym drukarzom też było łatwiej: już znali rodzinę, zwyczaje, a ktoś nowy niósłby dla wszystkich dodatkowy stres.

Ledwie wydrukowano ostatnią stronę, natychmiast wyjeżdżała maszyna - ona była najcenniejsza; drukarzy zawsze można znaleźć nowych. Jechała do następnego miejsca, gdzie już były przygotowane matryce, papier, farby; przyjeżdżała następna ekipa...

Zostawał nakład, powiedzmy, „Zapisu” - 2 tysiące egzemplarzy. Trzeba to było złożyć w kolejności stronic i zszyć, co po rozwiezieniu odbywało się co najmniej w czterech punktach intrologatorskich. Do każdego z takich miejsc wrzucało się odpowiednią liczbę paczek, zawalając mieszkanie. Bo z reguły taki punkt - to mieszkanie gdzieś na dziesiątym piętrze na Stegnach czy Wawrzyszewie, młodzi ludzie, jakieś małe dziecko. No i w wolnych chwilach gospodarze kartka po kartce to sobie składali; z czasem zaczęliśmy trochę za to płacić. Potem dojeżdżała okładka.

Okładki nigdy nie były robione w drukarni, bo drukowaliśmy je w innej technice - sitodruku. Przy dużych książkach pojawiał się problem intrologatorski. To już bardzo ciężka robota, trzeba docisnąć, zszyć, poobcinać. Mieliliśmy taką damę - pamiętam imię: Lidka, kuzynka Tolka Lawiny - która jeździła po mieście samochodem z wielką gilotyną; ależ to była potężna kobieta! Obcinała cały nakład i jechała dalej.

No i teraz, w tych czterech punktach, leży po 500 egzemplarzy - prawie pół metra sześciennego towaru - 160 kilogramów. I trzeba je rozwieźć do punktów kolporterskich (kolportażem zajmowali

się Grzesiek Boguta i Piotr Szwajcer). To już prostsze, bo punkty kolporterskie były stałe - nasze garaże i piwnice. Wrzucało się tam określoną liczbę egzemplarzy - wedle tego, co było ustalone z odbiorcą - ten przyjeżdżał, kiedy mu było wygodnie, otwierał sobie piwnicę i zabierał towar. Obywało się to bez kontaktu osobistego.

### **Ewa Milewicz:**

Miałam w domu sklepik; to była ostatnia faza kolportażu - detal. Sprzedawałam te książki z założeniem, że to nie jest "tajne łamane przez poufne", tylko wprost przeciwnie - że w ten sposób przyucza się SB, iż muszą się przyzwyczać. Oczywiście, starałam się, aby nie znaleźli i nie zabrali książek, gdy wejdą. Na początku miałam po kilka egzemplarzy kilkunastu tytułów, ilość zależała też od zamówień. Odbierali znajomi z naszego środowiska, potem to się rozszerzało.

Na stole zawsze stała popielniczka; pisało się na kartkach: „5.40 przed twoim garażem...”, „We wtorek wieczorem...”, „Po południu Mała apokalipsa, 40 sztuk” - i zaraz się je paliło. No i ktoś, zwykle znajomy, przychodził, zostawiał paczkę tej Apokalipsy, wychodził.

Starałam się to poupychać w różne miejsca, żeby nie było razem. Między normalnymi książkami, w szafie, w kieszeniach ubrań. Cenniejsze rzeczy chowałam w rękawach płaszcza. Dobre miejsce było pod wanną, bo miałam niezabudowaną, na nóżkach. Długo te książki nie leżały, szybko szły w ruch. Nigdy się nie zdarzyło, żeby mi w czasie rewizji wszystko zabrali.

Był ustalony tak zwany dzień handlowy, moi klienci wiedzieli, że wtedy coś będzie. Albo ktoś do mnie dzwonił i mówił: „Może wpadnę?”. I było wiadomo, o co chodzi. Czasem byliśmy umówieni z góry.

Stałych odbiorców miałam może ze dwudziestu. Zawsze brali na kredyt, pieniądze przynosili później. Z niektórymi się zaprzyjaźniłam.

### **Konrad Bieliński:**

NOW-a do 1980 roku miała zewnętrznego skarbnika, który rozliczał wszystkie nasze przepływy finansowe. Bywało tak, że moje zaprzyjaźnione punkty sprzedaży - Ewa Milewicz, Janek Kelus - dawały pieniądze ze sprzedaży bezpośrednio mnie, a ja je natychmiast wydawałam na papier lub farbę. No i ta nasza skarbniczka, czyli Dolly Korewo, przychodzi kiedyś do Janka Kelusa z pretensjami, że zalega jej 2 tysiące złotych za nierozliczone książki. Kelus był wściekły, bo zawsze rozliczał się niezwykle skrupulatnie, nie korzystał nawet z 10-procentowego upustu, jaki mieli kolporterzy, nie zatrzymywał sobie ani grosza. Te pieniądze przekazał od razu mnie, a ja wydałam je na produkcję.

Kolporterzy spoza Warszawy mieli na swoje potrzeby (dojazd, koszty własne) 20-procentowy upust. W wielu przypadkach było to podstawowe źródło finansowania działalności ośrodków pozawarszawskich. Potem Studenckim Komitetem Solidarności czasem odpuszczaliśmy długi, gdy wiedzieliśmy, że wydali na jakąś akcję, a nie na wódkę.

### **Mirosław Chojecki:**

Od pewnego momentu mieliśmy już stałych odbiorców we Wrocławiu, w Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Lublinie, Szczecinie, Kielcach, Gdańsku, potem doszedł Białystok i inne. To byli hurtownicy. Każdy z nich miał dostęp do "swojej" piwnicy.

Wrzucaliśmy, na przykład dla Krakowa, dajmy na to 80 egzemplarzy „Zapisu” i inne rzeczy. Kluczyki mieliśmy i my, i Kraków, a właściciel w ogóle nie wiedział, co się u niego w piwnicy dzieje, bo schodziło tam tylko jego dziecię, które ją nam udostępniło.

Hurtownicy wpłacali pieniądze u Dolly Korewo. To były spore sumy. Sprzedawaliśmy w detalu po złotówce za stronę, na przykład „Zapis” kosztował 160 złotych. W takiej skrytce leżała więc jednorazowo wartość kilku niezłych miesięcznych pensji.

Co by było, gdyby ktoś wziął książki i się nie rozliczył? Prosta rzecz - przestajemy współpracować. Gdyby powiedział, że zabrała mu milicja? Nie było takiej możliwości, przecież wiedzieliśmy mniej więcej, jak się to rozchodzi. A z kolei gdybyśmy my nawalili i hurtownik w tej swojej piwnicy niczego by nie zastał, zrobiłby awanturę pod niebo! To działało bez zarzutu. Bywały ośrodki, które zalegały z płatnościami, wtedy nie dostawały książek; ale ponieważ były pod presją swoich odbiorców, więc się w końcu wobec nas wywiązywały.

### **Seweryn Blumsztajn:**

NOW-a to były pierwsze pieniądze, jakie się pojawiły w naszym środowisku. Zaczęła płacić – i to dobrze - za druk i składanie, autorom zresztą też, z tym że honoraria autorskie, o ile wiem, były niewielkie. Pojawili się ludzie, którzy z tego żyli - to zawsze trochę zmienia ruch społeczny i zaburza jego czystość. Pojawili się zawodowcy, a także duże pieniądze - korupcja na tak zwanych dojściach, bo trzeba było przekupić drukarzy w państwowych drukarniach; musieliśmy w tym uczestniczyć.

Do tej pory wszystkie działania związane z KOR-em miały charakter czysto społeczny. Pieniądze zbieraliśmy tylko dla represjonowanych, a całkowita bezinteresowność była częścią etosu KOR-u. Miałem poczucie, że ta nowa sytuacja zmienia jakoś nasz świat, ale się nie buntowałem, nie byłem obrażony. Przyjąłem te reguły gry; sam potem żyłem z tego, że drukowałem. Te pieniądze miały też swoje zalety - profesjonalizowały działalność wydawniczą, nadały jej rozmach i dynamikę.

Czy podziemie korumpowało? Myślę, że to zależy przede wszystkim od formacji. Oczywiście, wtedy dla uzyskania papieru posłużyłbym się fałszywą pieczętką; ale było ważne rozróżnienie na zobowiązania wobec społeczeństwa i wobec siebie.

### **Tomasz Jastrun:**

Zależało mi na tym, by przestrzegano pewnych zasad, nie tylko bezpieczeństwa. Ich brak zawsze demoralizuje. A w konspiracji nie ma rachunków, ścisłych rozliczeń, więc czasami pieniądze rozchodziły się nie wiadomo gdzie. Nie jestem przesadnie pryncypialny, ale już w końcu lat 70. widziałem, że nie zawsze oszczędnie wydaje się społeczne pieniądze.

### **Mirosław Chojecki:**

Co dwa tygodnie wydawaliśmy książkę, a gdyby doliczyć wszystkie periodyki, to można by uznać, że co tydzień, więc to wymagało dużej płynności. Jedną z głównych barier w liczbie wydawanych tytułów była organizacja - działaliśmy w prywatnych mieszkaniach, więc wszystko było rozproszone, trzeba było krzyżować i wiązać ze sobą różne nitki. Drugą, może jeszcze większą barierę stanowiło zaopatrzenie sprzętowe i materiałowe, w tym wydajność naszego sprzętu. Słowem - mieliśmy te same problemy, co poligrafia państwowa, plus kłopoty wynikające z działania w podziemiu.

Do tego dochodził czynnik finansowy - z braku pieniędzy często nie mogliśmy sobie pozwolić na zainwestowanie w papier. Przyjęliśmy zasadę sprzedawania komisowego, co sprawiało, że stale mieliśmy u ludzi ogromne pieniądze, spływały one nieregularnie, na ogół po czterech miesiącach od ukazania się danej pozycji.

Cykl wydawniczy nie miał nic wspólnego z cyklem kolportażowym. Zwykle najwięcej pozycji wydawaliśmy zimą i wiosną, w wakacje nasza aktywność nieco słabła, więc co wakacje był problem, że lada chwila nam wyschną pieniądze...

Rekordowa co do nakładu była broszurka *Obywatel a Służba Bezpieczeństwa* wydana w 40 tysiącach egzemplarzy, a z książek literackich *Mała apokalipsa* Konwickiego i *Wielki strach* Strykowskiego - po 15 tysięcy egzemplarzy.

Nie miałem najmniejszych wahań ani wątpliwości. Cały czas pieliśmy się w górę - każda nowa książka była rozchwytywana; nakłady - już nie 500 egzemplarzy, ale 3 tysiące i ciągle było za mało. Czuło się coraz większe poparcie społeczne. Już nigdy nigdzie tak nie będzie.

Gdy nas z Bogdanem Grzesiakiem wsadzili w marcu 1980 „za kradzież powielacza”, książki ukazywały się nadal, już nie mogli tego zatrzymać. Mieliśmy ogromne poczucie satysfakcji i sukcesu - to była ciągle wygrywana wojna, choć zdarzały się przegrane potyczki: kogoś wzięło z materiałem czy z farbą, coś komuś zabrali w czasie rewizji... I właściwie nie było represji, bo zatrzymanie kogoś na 48 godzin czy trochę dłużej - co to za represja!

### **Konrad Bieliński:**

Była zasada, że jak wsadzają kolegów, to trzeba pokazać, iż jest to nieskuteczne, bo wydaje się jeszcze więcej. W tym sensie oni generowali nasze działania. Uważaliśmy, że najgorsze, co można by zrobić, to pokazać władzy, że aresztując może osiągać swój cel.

### **Tomasz Jastrun:**

Wtedy strachu nie było tak wiele. Wiedzieliśmy, że nie będą nas brać na męki - system gierkowski nie miał już kłów. I było pewne, że mamy wsparcie, są zaprzyjaźnione rozgłośnie, jest światowa opinia publiczna, z którą Gierek musi się liczyć.

### **Mirosław Chojecki:**

Od śmierci Staszka Pyjasa w maju 1977 aż do wyjazdu na Zachód w roku 1981 nie wzięłem do ust kieliszka alkoholu. Nie żebym - Boże broń - nie lubił, tylko ze strachu. Chciałem, aby wszyscy wiedzieli, że nie piję i żeby - w razie czego - była jasność. Aby wersja, iż się spił i spadł ze schodów, nie mogła nikomu przyjść do głowy.

Ale tego typu groźby - że zabiją, porwą - ograniczały się już potem tylko do słów, których nie traktowałem poważnie. Nasze radio, czyli Wolna Europa, trąbiło o każdym użyciu siły, co wobec nas, znanych już warszawskich opozycjonistów, absolutnie przestało się władzy opłacać, kompromitowało ją w świecie. Byliśmy w pewnym sensie uprzywilejowani. Znacznie gorzej mieli ludzie na prowincji, o nieznanym nazwiskach; tak bardzo dbaliśmy o zbieranie i przekazywanie informacji o wszystkich represjach w kraju, bo wszelkie nagłośnienie zwiększało bezpieczeństwo ludzi.

Zdarzało się, że się trochę bałem - jak mnie w Warszawie wzięło pod rękę dwóch i - pach, pach - nakopali... Jak szło za mną wieczorem trzech... Omijałem ciemne bramy... Ale bez przesady.

### **Jerzy Wocial:**

Zatrzymali mnie kiedyś na tak zwane „cztery osiem”. Oddawałem na komendzie na Żoliborzu rzeczy do depozytu, milicjant wypisywał jakieś papiery. Jeden z naszych, robotnik z Huty Warszawa, odszedł parę kroków, żeby zajrzeć przez wizjer, kto tam siedzi. I wtedy ten milicjant zerwał się i skłął go najordynarniejszymi słowami, po czym wrócił do stolika i normalnie, grzecznie, do mnie: „Panie Wocial, proszę...”. „Pan Wocial” to był dla nich ktoś - wykładowca uniwersytetu, którego nazwisko padnie jutro w Wolnej Europie, o którego świat się upomni.

Czułem, że mnie chroni pewna struktura społeczna, poczucie hierarchii, które i esbecy dzielają. A ten „roboł” to jest dla nich nikt, ktoś całkiem anonimowy, z kim nie trzeba się liczyć.

### **Ryszard Knauff:**

Może z dziesięć razy zatrzymali mnie na kilka lub na 48 godzin; „dołek” na Komendzie Stołecznej nie był przyjemny, ale kryminaliści mieli dla nas szacunek.

To były głównie zatrzymania „prewencyjne”, jak miał przyjechać ktoś ważny, na przykład Papież - bali się ulotek, demonstracji.

Kiedyś mnie zaprosili do biura paszportowego na Kruczą (za granicą była moja żona, nie widziałem jej sześć lat, w ciągu pięciu lat składałem wniosek o paszport chyba z pięćdziesiąt razy) i bardzo długo mnie przepytywali. Na koniec zaproponowali mi paszport za współpracę. Napisałem

o tym w „Głosie” artykuł, który został przedrukowany w jakimś piśmie amerykańskim, co ich wprawiło w furję - przyjeżdżali potem pod mój dom i walili pięściami w blaszane parapety; nie wchodzili, nie rewidowali, tylko hałasowali, żeby stworzyć nastrój grozy.

Zatrzymanie kogoś z nas to nie był dla nich taki znów cymes; mogli mnie wiele razy wsadzić, czy nawet pobić, ale byłem dla nich cenny przede wszystkim na wolności, jako „zajac” - żebym ich gdzieś doprowadził, do drukarni czy magazynu.

### **Mirosław Chojecki:**

Że wyrzucali z pracy? To oczywiste. Bronilem się jak lew, ciągałem ich po wszystkich możliwych instytucjach i instancjach, bo zrobili to dość niedbale, nie troszcząc się dostatecznie o stronę formalną. Stosowaliśmy już koncepcję, żeby w konflikcie z władzą wykorzystywać do końca wszelkie możliwości prawne, bowiem prawo pracy (zresztą nie tylko ono) było, w przeciwieństwie do praktyki, całkiem demokratyczne.

Ta prosta metoda prawowania się z władzą okazywała się, o dziwo, całkiem skuteczna. Tak zwani zwykli ludzie na ogół nie tylko nie znali prawa, ale też z góry zakładali - słusznie zresztą - że nie jest to państwo prawa, że prawo w tym systemie to wyłącznie dekoracja; nie upominali się więc o swoje, wiedząc, że nic nie wskórają, a mogą się narazić na dodatkowe szykany. My, udając, że traktujemy zobowiązania władzy serio, stawialiśmy ją w trudnym położeniu, zmuszając do ujawnienia jej prawdziwej natury.

### **Konrad Bieliński:**

Na uczelni w Kielcach miałem roczny kontrakt; przystąpiłem więc do KOR-u po 1 października 1977, żeby jeszcze na rok zachować pracę. Zdarzało się, że przyjeżdżałem na zajęcia prosto z drukarni i palcami czarnymi od farby (źle się zmywała) pisałem białą kredą wzory na tablicy... Cieszyłem się w Kielcach niejakim mirem - przedtem, kiedy podpisałem protest przeciwko zmianom w konstytucji, uczelnia próbowała mnie nawet trochę bronić, ale teraz już nie mieli wyjścia - wylali mnie.

Odwołałem się do ministra, bo zgodnie z zapisami tak zwanej Karty Nauczyciela zwolnienie nauczyciela akademickiego musiało być zatwierdzone przez ministra.

A minister, po wypadku samochodowym, był w szpitalu - ministerstwo sparaliżowane, nie było odważnego, który by podjął decyzję. Przychodzi październik 1978, ministerstwo milczy, ja się zgłaszam do rektora po przydział zajęć. A on - że zwariowałem! Więc w grudniu piszę do ministra - już nowego - doniesienie o przestępstwie: że rektor łamie prawa pracownicze, bo nie przydzielił mi zajęć ze studentami i nie wypłaca pensji oraz że bezprawnie potrąca mi składki związkowe.

Po czterech dniach telefon z ministerstwa - dwóch prawników na zmianę tłumaczy mi, że to nie tak, a ja im na to, iż jestem członkiem KOR-u i przekażę sprawę prasie zachodniej.

Na takie dictum rektor przywrócił mnie do pracy w trybie pilnym, z gorącą prośbą, abym nie



nastawał na prowadzenie zajęć ze studentami, nie pokazywał się już nigdy więcej w Kielcach, a przez najbliższy rok odbierał pieniądze na pocztę w Warszawie. Tak że przez rok miałem pensję w Kielcach, a pracę w NOWej.

### **Witold Łucywo:**

Potem już była taka doktryna, żeby jednak opozycjonistów nie wyrzucać, żeby chociaż przez te osiem godzin byli pod kontrolą. Wiedziałem o tym, bo sąsiadka Tomka Jastruna, Monika Czeszko, miała sąsiada esbeka, który był „opiekunem” mojego instytutu. On przychodził do niej i się zwierzał, jakie ma straszne ze mną kłopoty, że chętnie by się mnie pozbył, ale musi znaleźć swojego odpowiednika w innym zakładzie pracy, który zgodzi się mnie przejąć, jak mnie wyrzucą z instytutu.

Już wtedy, może po doświadczeniach z wyrzuceniem Mirka z Instytutu Badań Jądrowych, mieli świadomość, że jednak lepiej, abyśmy gdzieś pracowali i nie mieli za dużo wolnego czasu.

Wyrzucono mnie dopiero parę miesięcy przed Sierpniem 80. Tak trafiłem do ośrodka badawczo - rozwojowego telewizji kolorowej, no i tu już rzeczywiście robiłem rzeczy straszne - zupełnie się nie krępowałem. To było dobre miejsce, w dobrym punkcie, przy Długiej; przychodzili Andrzej Zieliński, Teoś Klincewicz, drukarze, wymienialiśmy się materiałami, diapozytywami. Już się w ogóle nie kryłem. Widać było, że to wszystko się rozpada, że koniec jest bliski, że nie wyślą na Sybir...

### **Ewa Milewicz:**

Na początku zagrożenie było stałe. Do Sierpnia miałam kilkanaście, może kilkadziesiąt rewizji. Z początku bardzo się denerwowałam, nie wiedziałam, jak się zachować. Myślałam, że to wymaga jakichś nadzwyczajnych zdolności i zameczałam Jacka Kuronia pytaniami, co mam robić, czy muszę na nich krzyczeć, a on mówił, że normalnie - mogę robić, co chce. „Jak chcesz - mówił - to im zaproponuj herbatę; ja im proponuję”.

Ludzie zachowywali się różnie - byli tacy, co na nich krzyczeli: „Wy, ube! Wyście zamordowali... Polska niepodległa!...” i tak dalej, a byli tacy, którzy, jak ja, mówili: „Kawa? Herbata?”. A oni odmawiali, bo mieli swoje przepisy.

Na ogół robili równocześnie rewizję u mnie i na dole u Sławka Kretkowskiego, który im bardzo wymyślał. Oni biegali pomiędzy mną a „Kretem” po klatce schodowej; jeden taki przylatuje i mówi: „O Boże, jak tu u pani miło, spokojnie, bo u Kretkowskich taki wrzask...”.

Kiedyś, gdy była rewizja u mnie, a u Kretkowskiego nie, ten otworzył okno i zaczął na cały głos krzyczeć: „Rewizja u Ewy Milewicz! Proszę zawiadomić Jacka Kuronia!”. Myślałam, że dostanę szalę, a ten esbek, co chodził pod oknami, też się zdenerwował i mówi: „Panie, to weź pan zadzwoni do tego Kuronia, co pan tak krzyczy?!”.

### **Tomasz Jastrun:**

Te krzyki Kretkowskiego kiedyś mnie uratowały. Szedłem do Ewy, a z okna krzyczy Kretkowski: „Rewizja u Ewy Milewicz!”. Byłoby źle, gdybym wpadł w kocioł, w domu miałem wtedy dużo różnych rzeczy...

### **Ewa Milewicz:**

Rewizja to było zwykle pięć-siedem osób plus ci, którzy ich ubezpieczali na dole (mieszkałam na pierwszym piętrze) - obserwowali, co się dzieje, kto idzie... Jak wchodzili do mnie, to zasłaniaли okna. Wiadomo było, że jak okna są zasłonięte, to znaczy, iż jest SB. W czasie rewizji byli na ogół bezosobowi, spokojni. Najbardziej nieprzyjemne były panie, bo robiły to z pewną pasją, były dokładne, szukały starannie.

Wkraczali zazwyczaj widowiskowo. Myśmy z Basią Kretkowską miały taki sygnał, że jak do mnie albo do niej wchodzi, walimy w rury i to jest znak, że coś się dzieje. Jak szli do mnie, to spuszczałam paczki z książkami na sznurku przez okno do „Kretów”. Póki esbecy nie zauważyli... Mieli różne metody. Podjeżdżali pod dom po cichu, na zgaszonych światłach albo odwrotnie - wjeżdżali po kilka samochodów, z hałasem, trzaskali nieustannie drzwiami, robili ruch, żeby wszyscy wokół wiedzieli - to był ich ulubiony sposób.

Niczego nie trzymałam w pokoju mojej córki Joasi; nie chciałam, aby jej cokolwiek zabierali i próbowałam ich przyzwyczaić, że u dziecka nic nie znajdują.

Lubiłam im zawsze w czasie rewizji coś zabrać. Moim największym osiągnięciem był profesjonalny półmetry zszywacz do papieru. To było u Marysi Kruczkowskiej.

Jak się dowiedzieliśmy, że jest u niej rewizja, poszliśmy tam, żeby nie była sama. Oni odkładali sobie na bok to, co chcieli zabrać, a ja się nieustannie kręciłam, czegoś dotykałam, coś przesuwałam. W końcu znudziło im się mnie obserwować, ja coś chowałam albo przekładałam z kupki na kupkę, aż wreszcie zabrałam ten półmetry zszywacz i schowałam pod spódnice. Modne były wtedy takie szerokie spódnice, zszyte z wielkich marszczonych pasów materiału.

### **Mirosław Chojecki:**

W czasie rewizji byli na ogół grzeczni - „w białych rękawiczkach”, natomiast ja miałem uczucie strasznego obrzydzenia. Ale nie okazywałem im tego, nie było żadnych awantur; zresztą, mieliśmy małe dziecko... Traktowałem ich jak kogoś, kto wykonuje swoją robotę.

### **Konrad Bieliński:**

Mieliśmy kiedyś duże spotkanie u Romaszewskich i Kuroń załatwił ekipę BBC, żeby esbecy nam nie przeszkadzali. I co dzwonek, to ci Anglicy włączają kamery, licząc na inwazję esbeków, a tu kolejno wchodzi nasi...

### **Mirosław Chojecki:**

Oczywiście, byli jeszcze „tajni współpracownicy”, w większości przypadków łatwo przez nas rozpoznawani. Wokół mnie kręciło się kilku takich „chętnych” - bardzo chcieli pomagać, a najbardziej robić coś, co by ich zaprowadziło do drukarni. Niektórym przydzielałem nawet jakieś zadania, czasem fikcyjne, a czasem realne. Było mi wygodniej mieć takich satelitów rozpoznanych, niż demaskować następnych.

Czasem można było ich użyć do dezinformacji, a czasem za ich pośrednictwem nawet zakpić sobie z władzy.

#### **Tomasz Jastrun:**

Przyjęliśmy zasadę, żeby nikogo nie podejrzewać. Staralem się ufać ludziom, bo inaczej w ogóle nie można by żyć. Zresztą, niełatwo im było kogoś wmontować, to wszystko działało na zasadzie układów towarzyskich, miało się do czynienia z ludźmi, których znało się od lat.

#### **Mirosław Chojecki:**

Przyszedł do mnie kiedyś nieznajomy sąsiad i mówi, że esbecja chce u niego wynająć pokój z widokiem na wejście do mojej klatki schodowej, i co on ma zrobić...

Powiedziałem mu, aby im wynajął i ustawiał kwiatek na parapecie, kiedy ich nie ma - żebym wiedział. I tak sobie ten kwiatek wędrował. No i pytanie - to współpracownik czy nie? Pieniądze za wynajem od nich brał.

Czasem był bezpośredni kontakt z tymi łapsami. Idę do Ziemka Fedeckiego na Puławską, obstawia mnie co najmniej siedmiu w dwa samochody, ale nie muszę się kryć, bo o Ziemku i tak wiedzą. Pod domem spaceruje panienska, więc ją pytam: „Dokąd idziemy?”. A ona na to rozsądnie: „To pan prowadzi...”.

#### **Witold Łuczywo:**

Na jakiejś konferencji w Instytucie Chemii Przemysłowej wygłaszałem referat na temat statycznej elektryzacji polimerów, z którego wynikało, że nawet po latach można zidentyfikować ślady odcisków palców na plastiku, jeśli się odpowiednio potraktuje chemicznie polimer. Wśród słuchaczy był ktoś z milicji, myślałem, że z kryminalnej. Wracam do siebie do instytutu - telefon z Komendy Stołecznej MO; facet chciałby się spotkać w kawiarni. Mówię: „Skoro pan ma sprawę, proszę do mnie do pracy”. Przychodzi, ja - przekonany, że chodzi o te polimery - chcę go prowadzić do laboratorium, pokazywać, a on zdziwiony... Ma pytanie: „A jak pan sądzi, czy małżeństwo pana Lityńskiego jest trwałe?”. Bo to był „opiekun” Janka... Wyrzuciłem go za drzwi. Jak się ubierał, zapowiedział: „Za granicę to pan długo nie wyjedzie...”. I słowa dotrzymał.

#### **Ryszard Knauff:**

Jak już mnie zaczęli obstawiać, miałem ogon codziennie. Mieszkałem u matki przy placu Wilsona i gdy wychodziłem, już czekały dwa samochody - jeden na Mickiewicza, drugi na

Potockiej - fiaty 125 i skody 1000 MB, do dziś pamiętam numer jednej: WAS 2396. Swoich „aniołów stróżów” też znałem z widzenia. Czasem było ich kilku, porozumiewali się przez krótkofalówki. Ciężko było im uciec, ale z czasem opracowałem sobie kilka metod, które się sprawdzały. Najbardziej skuteczna - na moście Poniatowskiego: jechałem z kimś samochodem, wyskakiwałem i zbiegałem na dół, gdzie czekał drugi samochód - czasem zdążyłem im jeszcze pomachać.

### **Tomasz Jastrun:**

Było tak, że nagle - o najbardziej nieprawdopodobnych porach - wpadał Mirek i mówił, że trzeba natychmiast ewakuować jakąś drukarnię. Miałem samochód, co nie było wtedy częste. Późna noc, wściekły, a pewnie i przestraszony, wsiadałem w samochód i jechałem... Ciągłe były jakieś awaryjne sytuacje.

Polski bałagan był w tej konspiracji, wszystko było robione na wariackich papierach. Pamiętam, kiedyś coś wnosimy po schodach, a wszystko się rozsypuje, leci w dół.. To jednak była improwizacja, więc SB miała gorzej, bo byliśmy nieprzewidywalni. A oni u siebie też mieli bałagan.

Kiedyś budzę się, a nade mną siedzi Jurek Wocial, taki dwumetrowy Don Kichote, strasznie nieszczęśliwy. U niego w domu był właśnie składany „Zniewolony umysł” Miłosza i Jurek nie wytrzymał tego nerwowo. Nazajutrz miał brać ślub i bał się, że milicja wejdzie i nie tylko z Miłosza, ale i z jego małżeństwa będą nici, więc mnie na wszystko prosi, żeby to od niego zabrać. Tłumaczy, że taka przeprowadzka zwiększa ryzyko, że to dodatkowe narażanie się, ale wszystko na nic... Gdzieś to przewieźliśmy.

### **Mirosław Chojecki:**

Przyjechał do mnie któregoś wieczoru Wojtek Ostrowski i zostawił mi na stole karteczkę z rozpiską, dokąd porzwoził papier z hurtowni. Wróciłem w nocy do domu, padłem na łóżko, a o siódmej rano dzwonek do drzwi - milicja, jedna z rutynowych rewizji (miałem ich kilkanaście). Na tej kartce, którą znaleźli, były różne znaczki, ale jeden adres pełny - ulica Klaudyny, numer domu, mieszkania. No to - myślę - papier przepadł. A oni, zamiast zrobić tam rewizję i wziąć papier, obstawili budynek i czekali, aż my go weźmiemy i zaprowadzimy ich do drukarni - tak sobie to wyobrażam.

Postanowiliśmy im ten papier jakoś wyrwać. Poleżał sobie spokojnie kilka dni - wyglądało na to, że nie mają zamiaru wchodzić. Spakowaliśmy go więc do samochodu...

Samochodu Biety Ficowskiej nie mogliśmy zdekonspirować, skoro i tak był milicji doskonale znany. Drugi samochód pożyczyłem od Haliny Mikołajskiej. Na Klaudyny chłopcy przygotowani - w piętnaście minut samochód Biety był zapakowany. Ruszyła, za nią samochody z esbekami, a ja (w samochodzie Mikołajskiej) za nimi.

Bieta wjechała na Trasę Łazienkowską, z trasy na wiadukt - tu z obu stron barierki, jeden pas ruchu. Ja się tymczasem przemknąłem przed te samochody esbeckie, jechałem za Bietą i nagle, co za pech! - na wąskim podejździe popsuł mi się samochód, stanąłem, zablokowałem ich, a Bieta zniknęła... Za chwilę była już po drugiej stronie mostu, tam na nią czekali chłopcy, którzy zaraz wszystko rozładowali, wzięli papier i po sprawie. Ci zatrzymani przeze mnie esbecy oczywiście starali się pomóc, wezwali milicję mundurową - jak mnie wylegitymowali, wszystko stało się jasne - ale było już za późno. Wyjęliśmy im kilkadziesiąt ryz cennego papieru.

Kiedyś był u mnie na rewizji kolega ze studiów - starał się jakoś przede mną wytłumaczyć, że został dokooptowany jako specjalista chemik. SB wtedy zarekwirowała mi słoiczek curry - mieli taki pomysł, żeby oskarżyć mnie o zamiar zatrucia wody w Warszawie; słoiczek miał być dowodem w sprawie. Kolega bardzo mi wtedy pomógł. To, co mieli zabrać, odkładali sobie na tapczanie. Był tam pewien notesik, którego mi było bardzo żal. Powiedziałem, że chcę do toalety. Kolega mnie eskortował, więc mu powiedziałem, że chodzi mi o ten notes. Gdy wróciliśmy, on to wszystko, niby niechcący, stracił za tapczan, a potem podniósł, tyle że bez notesika.

Ten system korodował. Jego ludzie nie mieli już przekonania do tego, co robią. Opowiadał mi Jan Józef Lipski, że kiedyś, zatrzymany na prowincji, w czasie przesłuchania powiedział nieco surrealistyczne zdanie: „A Polska i tak będzie wolna!”. Esbek spojrzał na niego ze złością i odpowiedział: „Ale jeszcze pięćdziesiąt lat nie!”. Nie miał, jak widać, dobrych informacji co do terminu, ale całkiem dobre co do statusu kraju i raczej nie wyniósł tego ze szkolenia ideologicznego!

### **Seweryn Blumsztajn:**

Od pewnego momentu mieliśmy poczucie, że NOWa to jest nieprawdopodobne zwycięstwo, że idziemy od sukcesu do sukcesu, pokonujemy wszystkie kolejne progi. Wciąż robiliśmy następny krok, zgłaszali się kolejni ludzie, włączały się coraz to nowe środowiska, powstawały nowe inicjatywy, jak choćby TKN; zastanawialiśmy się, co by tu można jeszcze...

### **Witold Łucywo:**

Kuroń cały czas nam mówił, że jesteśmy tylko animatorami ruchu społecznego, który już wrze, że tam pod pokrywką kipi, a my możemy pomóc to ukierunkować.

### **Mirosław Chojecki:**

Sierpień 1980 zmienił sytuację NOWej. Znacznie zwiększyło się zapotrzebowanie na nasze książki. Czekali już na nie nie tylko wtajemniczeni, ale potężne zakłady pracy. Zmieniły się także nasze stosunki z władzą. Od chwili, gdy po 31 sierpnia, na mocy Porozumień Gdańskich, wyszedłem z kryminału, do mojego wyjazdu z kraju w 1981 roku - już ani razu nie siedziałem, nie byłem zatrzymywany, nie miałem żadnej rewizji. Koledzy - owszem; była na przykład wpadka 400 egzemplarzy „Pulsu”, ale nie były to już akcje na ślepo. Wydawanie książek przestało być dla nich takie ważne, powstał 10-milionowy ruch społeczny, esbecja nie była w stanie tego wszystkiego

ogarnąć.

**Witold Łuczywo:**

W czasie „karnawału” zacząłem przeglądać na oczy. To paradoks, że to, co dla ludzi było wiosną wolności, dla działaczy opozycji stało się trudnym doświadczeniem. Niektórzy, jak Heniek Wujec, weszli w to z całym impetem, ale inni byli przerażeni, we wszystkich widzieli esbeków.

Ja też miałem silne poczucie wyobcowania. Jak w grudniu 1980 pojechałem do Gdańska na odsłonięcie pomnika pomordowanych w 1970 roku i zobaczyłem tę celebrytę, tych biskupów, ten drętwy język... Chciałem w Gdańsku wydać ostatni, pożegnalny, numer „Robotnika” i napisać w nim pochwałę Anny Walentynowicz. Wałęsa tak się wściekł, że nasłał na nas coś w rodzaju bojówki. Jak zobaczyłem straszliwą dezintegrację tego środowiska na Wybrzeżu, a Alinka Pieńkowska powiedziała mi: „My się już w ogóle nie spotykamy...”, zrozumiałem - to już się skończyło...

**Konrad Bieliński:**

W czasie tych szesnastu miesięcy po Porozumieniach wszyscy chcieli drukować. W reżimowym Domu Słowa Polskiego od tamtejszej „Solidarności” dostaliśmy medale honorowych drukarzy. W tej tak pilnie dotąd strzeżonej drukarni państwowej można było wejść, gdzie się tylko chciało. Roman Wojciechowski wziął nawet jakąś książkę paryskiej „Kultury”, skopiował matryce, wydrukował tam sobie 500 egzemplarzy i sprzedał, co nie stanowiło żadnego problemu. Zarobił na tym pięciomiesięczną pensję i powiedział, że teraz już rozumie, ile myśmy się z Mirkiem na tej NOWej nachapali, także jego kosztem.

**Grzegorz Boguta:**

Po Porozumieniach odbyła się dość dramatyczna dyskusja: czy legalizować NOWa, czy nie. Niektórzy chęć legalizacji traktowali jako zdradę, ale ja byłem za testowaniem, próbą legalizacji na naszych warunkach.

**Ryszard Knauff:**

W 1980 roku odszedłem z NOWej. Bardzo chciałem pomóc w czasach, kiedy to było istotne, a potem uznałem, że trzeba jakoś zorganizować swoje życie na płaszczyźnie profesjonalnej. Było już bardzo wielu ludzi, którzy chcieli to ciągnąć dalej. Miałem przy tym takie uczucie, że Mirek jest w NOWej marginalizowany; kiedy zaczęły się sukcesy - odszedł. Pewne rzeczy przestawały mi się podobać.

**Witold Łuczywo:**

Ruch z czasem stał się też dla niektórych okazją do robienia własnych interesów, początkowo skromnych, ale to już się zaczynało opłacać. Zostałem szefem poligrafii Regionu Mazowsze i zatrudniałem kolegów, którzy - na darowanych z Zachodu maszynach i papierze - robili fuchy na

własną rękę...

Uważałem, że stan wojenny był niepotrzebny - sami byśmy się zagryźli. Ale generał Jaruzelski zatroszczył się o Polskę i stan wojenny nas skonsolidował. Znow poczułem się w swoim żywiole.

**Andrzej Górski:**

My - fizyczni - mieliśmy duży żal za stworzenie w 1980 roku NOWej powierzchniowej. Wiedzieliśmy, że jak będzie jawna, to w każdej chwili przyjdą i zabiorą jak swoje... I rzeczywiście - po 13 grudnia została tylko jedna tajna drukarnia w Falenicy i tylko jedno dojście w drukarni na Tamce.

**Emil Broniarek:**

Miesiąc przed stanem wojennym zostałem szefem drukarni z ramienia NOWej w zakładach "Ursus". Mieliśmy dwa offsety i powielacz białkowy. 13 grudnia 1981 do 23.00 drukowaliśmy odezwę Mirosława Krupińskiego wzywającą do strajku generalnego. Potem kazałem chłopakom pochować offsety i powielacz tak, żebym nawet ja nie wiedział, gdzie są. Kiedy 14 grudnia o godzinie 0.05 szturmem weszli na Zakład Podwozia, byłem tam z naszymi ludźmi (grupa około trzystu osób) oraz Janem Józefem Lipskim i Marianem Srebrnym z PAN. Zszedłem do podziemia.

**Witold Łuczywo:**

W nocy 12/13 grudnia nie zastali mnie w domu. Poszliśmy z Helenką do „Luny” na premierę „Dreszczy” Marczewskiego, dziecko oddaliśmy do dziadków. Po filmie weszliśmy do Regionu Mazowsze na Mokotowską zobaczyć, co się dzieje i czytamy teleksy, które kolejno zaczynają gasnąć... Pomyślałem - stan wyjątkowy. Zrobiliśmy zebranie załogi, mówiono nawet, że może ktoś, na przykład „Ursus”, przyjdzie z odsieczą. Większość ludzi postanowiła, że zostaje, my z Helenką wyszliśmy. Kiedy przechodziliśmy przez dziurę w płocie, słychać było, jak wywalają łomami drzwi. Przy płocie stał cieć z sąsiedniego domu, wziął nas do siebie.

Widzieliśmy wszystko, cały ten brutalny szturm. Kiedy patrole się zmieniały, pobiegliśmy na Litewską do Pawła Śpiewaka... A potem na Miodową, pod Episkopat... A tam noc, cisza, spokój.

**Tomasz Jastrun:**

13 grudnia tuż przed dwunastą przyszli po mnie, ale już nie było mnie w domu, bo Andrzej Celiński wyszedł na balkon i krzyczał, że milicja zabiera ludzi z domów. Teresa Ogrodzińska to usłyszała i pobiegła do Łuczywów - tam już drzwi były wyważone, przybiegła do mnie i dzięki temu zdążyłem wyjść, zanim przyszli.

**Emil Broniarek:**

W następnych tygodniach koledzy zorganizowali wyprowadzenie całego sprzętu z zakładu; wywieźli go po kawałku w śmieciach. Ja ukrywałem się do maja 1985, kiedy mnie złapali i wsadzili na rok do więzienia, ale miałem szczęście, bo zdążyłem przez te lata dużo zrobić. Co dwa-trzy

tygodnie musiałem zmieniać mieszkania, bo na ogół moi gospodarze sami włączali się do roboty, więc trzeba było wciąż szukać nowych, neutralnych miejsc. Tak poznałem Maćka Radziwiłła, z którym już potem pracowaliśmy razem.

### **Maciej Radziwiłł:**

Po wprowadzeniu stanu wojennego zabraliśmy z Ośrodka Badań Społecznych Regionu Mazowsze sprzęt poligraficzny i byłem cały gotów, by podjąć działalność, tylko brak mi było kontaktów. Większość ludzi siedziała w internie, kontakty były pozrywane. W marcu 1982 mój wuj Janusz Przewłocki powiedział, że wieczorem przyjdzie do nas do domu ktoś ukrywający się. Przyszedł Witek Łuczywo, sprawdzić nas, a potem przysłany przez niego Andrzej Górski, ów legendarny drukarz, któremu się wszystko udaje i który nie miał żadnej wpadki.

Tak się zaczęła nasza przyjaźń z Andrzejem. Oczywiście, po pół roku mieszkania u nas - jak ja już się w to wciągnąłem - Andrzej musiał się wyprowadzić.

Lata 70. to był okres romantyczny NOWej, bardzo ważny ze społecznego punktu widzenia, bo przełamywał barierę strachu i niemocy, a także budował kanały kolportażu. Ale ilości i nakłady, jakie wtedy drukowano, były wprost śmieszne wobec tego, co wydawano w latach 80. To już okres industrialny, prawdziwy przemysł, o wiele większe nakłady, lepszy druk. Jak sobie policzyłem, przyłożyłem rękę do około 50 pozycji książkowych i 80 numerów „Tygodnika Mazowsze” - choć to, oczywiście, nie był cały nakład, tylko część.

### **Andrzej Górski:**

Nasz największy nakład to było tydzień w tydzień 17,5 tysiąca egzemplarzy „Tygodnika Mazowsze” w 1982 roku. To były dwie-trzy kartki, cztery-pięć toreb od roweru składaka.

Nie ma sposobu, żeby w jednym miejscu zrobić 30 tysięcy nakładu, szczególnie gazety. Maszyna szybciej nie pójdzie. A poza tym nie ma fizycznej możliwości wywiezienia takiej ilości bez zwracania uwagi. To jest możliwe tylko „na dościur”, gdzie jest wielkoformatowa maszyna. Regularność to najgorsza rzecz w konspiracji, bo rzuca się w oczy, gdy się coś powtarza co piątek.

### **Tomasz Jastrun:**

Wydawałem pismo „Wezwanie”, publikowałem tam wiele zapisów stanu wojennego; zacząłem pisać dziennik-felieton (który potem przeniósł się do Paryża, do „Kultury”). Pierwszą literacką książką NOWej, straszliwie przetrzebionej aresztowaniami, wydaną w stanie wojennym, był mój tomik wierszy „Na skrzyżowaniu Azji i Europy”. Wcześniej nie publikowałem swoich tekstów pod nazwiskiem.

### **Witold Łuczywo:**

Jako przedstawiciel władz podziemnych Regionu Mazowsze zajmowałem się rozdawnictwem płynących z Zachodu maszyn i środków. Miałem wówczas spore - no, może nie konflikty, ale co



najmniej - różnice zdań z szefostwem wydawnictwa. Oczekiwano ode mnie, że będę faworyzował NOWą, a ja uważałem, że NOWa nie jest jedynym wydawnictwem godnym wspierania; w tym czasie bardzo ekspansywny był „Krag”, wydawali regularnie książki. Uważałem, że środki trzeba dzielić sprawiedliwie.

### **Konrad Bieliński:**

Podziemne kierownictwo Regionu - Zbigniew Janas, Zbigniew Bujak, Wiktor Kulerski, Jan Lityński, ja i moja żona Ewa Kulik - to była prawdziwa konspiracja; ślali za nami listy gończe. Dysponowaliśmy częścią pomocy z Zachodu - pieniędzmi, sprzętem. To szło wieloma drogami, ja miałem kontrolę nad jednym kanałem przerzutowym; rozdzielałem tę pomoc. Miałem kontakt z dużymi wydawnictwami, a także strukturami zakładowymi, jak „Ursus” czy FSO.

### **Witold Łucywo:**

Żyliśmy ze zrzutów. Mirek Chojecki i Sewek Blumsztajn załatwiali pieniądze w Paryżu, Marian Kaleta z Malmo to organizował, a Swen Jarn - zaprzyjaźniony Szwed - przywoził ciężarówką o podwójnych ścianach wraz z transportem darów dla Kościoła. W drogę powrotną wkładaliśmy tam kartkę z zamówieniami dla Kalety - na ogół prosiliśmy o dobre alkohole, farbę, powielacze, offsety i za jakiś czas wszystko to przyjeżdżało. Byliśmy tak dobrze obsłużeni, że 200 złotych, które miałem w kieszeni 13 grudnia 1981, przechowały się nienaruszone przez cztery lata do mojego wyjścia z podziemia.

### **Andrzej Górski:**

Po 13 grudnia nasze struktury podziemne radziły już sobie same i okazało się, że kierownicy nie są nam specjalnie potrzebni. Mirka już nie było w kraju, nowi dyrektorzy siedzieli w internecie, a wszystko toczyło się dalej: Tomek Michalak robił blachy, Paweł Bakowski organizował kolportaż - teraz już za natychmiastowym zwrotem pieniędzy, Maciek Radziwiłł organizował stronę techniczną: składanie, przechowywanie. Życie pokazało, że bez tej „czapki” dyrektorów wszystko działa.

Gdy pracowałem z Maćkiem czy Adamem Grzesiakiem, nie było problemu - odsiadkę mieliśmy wkalkulowaną, chodziło tylko o to, żeby, zanim zamkną, zrobić jak najwięcej. Bo niektórzy zrobili pół nakładu i już wpadali... Uważaliśmy, że jak już siedzieć, to za coś - żeby choć mieć poczucie, że im dosunęliśmy.

### **Maciej Radziwiłł:**

Wcale nie było łatwo wkupić się w ich łaski - żeby dopuścili mnie do drukowania. Oprócz Andrzeja w tej ekipie byli jeszcze Emil Broniarek i Tadek Markiewicz. Byli bardzo nieufni, wymagający, nie pozwalali sobie ani innym na żadną słabość. Zacząłem skromnie - najpierw od czynności pomocniczych, takich jak skupowanie worków po papierze toaletowym, organizowanie kleju, farby. Bardzo szybko zorganizowałem punkty składania (miałem dużo znajomych), transport,

zszywanie. Drukarze niczego do drukarni nie powinni wносить ani z niej wynosić - muszą mieć pełną obsługę. Dobre były duże domy, z wieloma mieszkaniami - nie wiadomo, do kogo się idzie... Przechodnie domy - jeszcze lepsze. Obsługiwałem te punkty i jak na przykład nagle przy zszywaniu okazało się, że brakuje dwunastej strony, to musiałem ją wykopać choćby spod ziemi.

### **Andrzej Górski:**

Maciek był świetny, bo był na powierzchni, niespalony, więc miał swobodę ruchu. Doskonale wyczuwał niebezpieczeństwo, miał kontakty, był świetnym organizatorem; zrobił wspaniałą sieć składaczy i obsługi technicznej. Te punkty trzeba było wciąż zmieniać, a Maciek doskonale umiał ocenić ludzi i przetestować, czy się nadają. W środowisku akademickim zdarzało się, że wiele punktów wpadało, bo jeszcze książki nie ukończyliśmy, a już ktoś nie wytrzymał i biegał z nią po mieście - SB tylko na to czekała; idąc tym tropem, bardzo łatwo było wyjąć czynną jeszcze drukarnię... A zasada była taka, że nie wolno niczego wynieść z drukarni; cały nakład rzucało się na miasto równocześnie.

### **Maciej Radziwiłł:**

Dla mnie było to niesamowite doświadczenie. Żyłem naraz jakby w dwóch światach. Na socjologii, w środowisku naukowym, gdzie się zbiegły wszystkie niespokojne duchy z całego miasta - piło się wódkę, dyskutowało do upadłego. A potem wsiadałem w samochód i rozwoziłem zakazane książki.

To był fantastyczny czas w moim życiu, poznałem niezwykłych ludzi, prawdziwych, takich jak Andrzej.

### **Andrzej Górski:**

Życie nas nauczyło, że dobra drukarnia, dobry punkt składania to taki, o którym nie wie nawet dykcja - bo jak się zaczyna „koordynowanie”, to już tragedia.

Siedzieliśmy z Adamem Grzesiakiem w drukarni w Falenicy i jedynym naszym problemem było to - jeśli nam po cichu wejdą - jak zawiadomić ludzi, że nas wyjęli. Jeden z pomysłów był taki, żeby odpalić petardy (mieliśmy przygotowane), narobić szumu, żeby sąsiedzi wiedzieli, iż coś się dzieje; by Komitet Prymasowski się dowiedział.

### **Maciej Radziwiłł:**

Kiedy ich wsadzili w maju 1985, był to dla mnie szok: oni mieli w sobie taką moc, wierzyłem, że nic im się nie może stać. Andrzej miał taki zmysł, że nigdy dotąd nie dał się złapać...

Na szczęście wtedy, kiedy oni wpadli, miałem już kontakt z paroma innymi osobami - z Grześkiem Bogutą, Markiem Kubinem, więc sam się wziąłem do roboty jako drukarz. Już nie było mowy, żeby się wycofać. Oprócz tego, że drukowanie i składanie było niezwykłym w naszej historii połączeniem pracy organicznej z partyzantką, był jeszcze jeden element dodatkowy -

zarobki, nie bez znaczenia dla młodego człowieka na garnuszkę rodziców.

Z Januszem Marcinkiem, moim kolegą ze szkoły podstawowej, do którego miałem absolutne zaufanie, zaczęliśmy drukować w Konstancinie i w Falenicach.

Robiliśmy przede wszystkim „Tygodnik Mazowsze”, nie cały nakład, ale jakąś znaczącą część, i inne rzeczy. Organizowałem też składanie naszych publikacji, a także publikacji dla ludzi z Akademii Medycznej.

Zajmowałem się też obsługą jednego dojazdu, czego nie lubiłem, bo było to przestępstwo właściwie kryminalne. Do drukarni na Tamce wieczorem oddawało się blachy, a rano, jeszcze przed pierwszą zmianą, odbierało się gotową książkę.

Trzeba było wężutką bramą wjechać ciężarowym mercedesem, załadować wydrukowany nakład, podać człowiekowi plik banknotów - była z nim umowa, że w razie czego się nie znamy (to był układ całkowicie komercyjny) - i jak najszybciej zjeżdżać.

15 marca 1986 byłem umówiony z Markiem Kubinem i kimś jeszcze, że dostarczą nam papier na pilny druk „Tygodnika Mazowsze”. Przywieźli papier, ale w formacie A3, a potrzebowaliśmy A4, więc go trzeba było przeciąć. I we trójkę - wbrew zasadom, nierozsądnie, ale to było blisko, parę ulic - wieźliśmy go z Raławickiej na Batorego i na rogu Odyńca i Komarowa (dziś Wołoskiej). Kubin, tym potwornie obciążonym fiatem 125p kombi, wymusił pierwszeństwo. Za nami jechał milicyjny radiowóz, więc oczywiście zatrzymanie, dokumenty, no i milicyjna czujność - papier wprawdzie był jeszcze niezadrukowany, ale i tak był groźnym materiałem strategicznym. Zatem na komendę MO na Malczewskiego...

Wchodzę do celi -w potwornym piwnicznym bunkrze siedzi dwadzieścia osób. Zauważyli, że jestem trochę inny od nich, pytają, za co siedzę, a ja, że za papier. Nie pamiętałem, że „papier” to w grypszerze znaczy dolar. No więc od razu widać, że jestem poważny gość. Pytają, ile tego było, a ja, że cały samochód. Więc urosłem w ich oczach. A oni, dociekliwi, pytają dalej, czy ten papier rąbany (czyli kradziony), więc myślę: a skądże oni mogą wiedzieć, że wieźliśmy ten papier do ciecia... W końcu wszystko się wyjaśniło.

Od razu wieczorem zabrali nas trzech do sądu na przyspieszoną rozprawę, tak zwaną z bomby - w ciągu 24 godzin można było przeprowadzić postępowanie.

Przowieźli nas do więzienia w Białoleścu. Siedziałem w takiej śmiesznej celi, gdzie na czternastu metrach było nas ze dwanaście osób, wszyscy z wyższym wykształceniem, ale wszyscy kryminalni. Ci ludzie już rozpoznawali moje nazwisko. Tu pytanie brzmiało nie: „Czy grypsujesz?”, tylko „Czy grasz w brydża?” - a to była moja, po ojcu, wielka pasja, więc jak odchodziłem, żegnali mnie z wielkim żalem. Zasadniczo było bardzo elegancko: jak wychodziliśmy na spacer, strażnik mówił: „Książę pierwszy, hołota z tyłu!”.

Gdy wróciłem, dalej zająłem się robotą. Z tego zdarzenia wyciągnęliśmy wnioski. Miałem

znajomego, który wyprodukował mi mnóstwo pieczętek, tak że mogłem wypisać sobie dowolną ilość „wuzetek” („wydano z magazynu”) i pozwoleń. Dowiedzieliśmy się, jakie firmy mają zezwolenie Ministerstwa Kultury na kupowanie papieru, a także o nazwiska dyrektora, księgowego. Każdy kierowca, który wiozł towar, musiał mieć takie dokumenty.

### **Konrad Bieliński:**

Kwitło wtedy bujne życie spontaniczne, także biznesowe. Często powoływano się na kierownictwo Regionu, więc próbowaliśmy - co w warunkach podziemia nie było łatwe - jakoś dyskredytować spryciarzy produkujących tysiące znaczków, które ludzie kupują, bo myślą, że to idzie na podziemie, a tymczasem ktoś sobie nabija kieszeń. Było wiele działań, nad którymi nie mieliśmy - bo nie mogliśmy mieć - żadnej kontroli. Szczególnie produkcja znaczków, na które było wielkie zapotrzebowanie, grzęzła w nadużyciach. Jak się zorientowałem, wprowadziłem w „Tygodniku Mazowsze” informacje, które znaczki są przez nas firmowane.

### **Maciej Radziwiłł:**

Na jesieni 1986 już troszeczkę do tego traciłem serce, już mi się pewne rzeczy nie podobały... Ale właśnie wyszedł z więzienia Andrzej - po ciężkim pobycie, po długiej głodówce, znerwicowany, z nadszarpniętym zdrowiem. Był w takim stanie, że uznałem, iż się musi koniecznie znów zabrać do roboty, bo potrzebny jest mu taki bodziec. Ja już nie bardzo miałem ochotę, ale ze względu na niego...

Pracowaliśmy już tylko we dwóch i w tym tandemie osiągnęliśmy 3,5-5 tysięcy egzemplarzy. Latem 1987 mieliśmy maleńką drukarnię w Rembertowie, dobry offsecik marki AB-Dick.

Andrzej nie czytał większości tych książek, które drukował. Nie interesowała go książka Poppera [*Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie*] i nie ma w tym nic szczególnego.

Książka Poppera jest w ogóle dla dwustu, no może tysiąca osób w Polsce, a myśmy ją wydrukowali i sprzedali w 3 tysiącach egzemplarzy! To niepowtarzalne: drukować jedną ze sztandarowych, klasycznych pozycji filozoficznych w maleńkim domku w Rembertowie - wbrew cenzurze. W grudniu 1987 esbecja nam tę drukarnię skasowała.

### **Witold Łucywo:**

W tej podziemnej organizacji tkwiły ogromne moce. Mogliśmy wydrukować dziesiątki tysięcy ulotek i nawet je rozsypać po mieście, tylko już w pewnym momencie nie bardzo wiedzieliśmy, co na nich pisać - bo już nie „precz z komuną”, skoro konieczny jest kompromis z komuną...

Kiedy się ujawniłem, po czterech latach podziemia, dzień po amnestii, esbecy mieli straszny kłopot, co ze mną zrobić. Trzej pułkownicy wzięli mnie na śniadanie; mówili: „Pan patrzy, panie Witku, ludzie tak o nas mówią, a tu u nas w bufecie tylko pasztetowa...” i namawiali, żebym podpisał lojalkę, a będziemy mieli problem z głowy. A ja: „Zamknijcie mnie, nie podpiszę!”. Wreszcie przybiegł któryś, uszczęśliwiony - okazało się, że PRON wystąpił o przedłużenie

amnestii, która w takim razie i mnie obejmowała, więc teraz mogli mnie spokojnie puścić.

### **Maciej Radziwiłł:**

Doświadczenie zbyt długiej konspiracji jest niszczące. Szczególnie brak respektu dla prawa - jakiegokolwiek by ono było. Myśmy już w pewnym momencie nie znali granic w łamaniu prawa. Cel, jakim było drukowanie gazet i książek, usprawiedliwiał wszystko. To może też zawisło trochę nad tym środowiskiem.

### **Seweryn Blumsztajn:**

Życie w opozycji to jest życie na marginesie, a życie na marginesie to także lenistwo. Nie działają reguły społeczne, nic nie muszę, pracuję zrywami, nie podlegam żadnym rygorom, a w dodatku jeszcze mam moralne poczucie wyższości.

### **Mirosław Chojecki:**

Spotkanie z wolnością też okazało się niełatwe: Janek Walc miał wylew, ja - dwa zawały, z tym że ja - w przeciwieństwie do niego - przeżyłem. Ale wielu osób, o których tu mowa, już nie ma...

### **Andrzej Górski:**

Dlaczego nasi dalej pociągnęli NOWą, zamiast ją zamknąć, podziękować ludziom, którzy dołożyli swoją cegiełkę... Dlaczego NOWą przejęła i sprywatyzowała grupa osób z tak zwanych ostatnich pięciu minut, z drugiej połowy lat osiemdziesiątych?

Przecież NOWa nie była prywatną własnością. Tworzyły ją dziesiątki, jeżeli nie setki osób przez wiele lat. Wypracowały one wielki kapitał, nie tylko w dosłownym sensie, ale także w sensie ludzkiego zaufania i szacunku. Gdyby kapitał ten został wykorzystany, NOWa stałaby się koncernem wydawniczym, a nie podręcznym, małym wydawnictwem.

Wydawnictwa, takie jak „Krağ” czy „CDN”, potrafiły publicznie - jak KOR, a przedtem „Biuletyn Informacyjny” - przyznać, że zakończył się pewien etap ich działalności; rozwiązały się. Rozliczyły się ze swoim zespołem i wszystkimi współpracownikami.

NOWa postąpiła inaczej - rozmienając przy okazji na drobne swój dorobek. Był to przecież pomysł na życie w systemie, a nie biznes z tym samym logo. To dla mnie było bardzo osobiste, nie mam do tego żadnego dystansu. Trochę mi to wszystko odjęło zdrowia. Ta moja prywatna wojna z komunizmem, wojna prawdziwa, prowadzona w drukarniach i w więzieniu, a nie na salonach, trwała dziesięć lat.

### **Grzegorz Bogota:**

Miałem propozycję stypendium w Kalifornii i wtedy dostałem też propozycję od NSZZ „Solidarność” w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. Myślałem: wprawdzie umiem się konspirować, wiem, kiedy za mną chodzi esbecja... - ale prowadzić tak dużą, profesjonalną firmę? Naciskali (wtedy uchodziłem za Wałęsę podziemia wydawniczego), więc pomyślałem: spróbuję.

Gdy zostałem dyrektorem PWN, pojawiły się oczekiwania, że pomogę, załatwię pracę różnym ludziom, którzy byli ważnymi drukarzami czy składaczami w podziemiu. Nagle, z dnia na dzień, wszystko zostało skreślone; nikt już niczego od nich nie chciał, nikt im za nic nie płacił. Znalazłem się niespodziewanie po drugiej stronie barykady, wsiadłem do pociągu, który im odjechał... Nie mogłem powiedzieć w PWN tym, którzy mnie tu zaprosili, że teraz są niepotrzebni, bo ja wprowadzę swoich ludzi. Tym bardziej że ci „moi” się tu nie nadawali, były potrzebne zupełnie inne kwalifikacje.

**Jerzy Wocial:**

To środowisko już nie istnieje. Co nas rozdzieliło? Może raczej należałoby spytać, co nas wtedy połączyło. Był to sprzeciw - to może nie najlepsze spoiwo, a też miało się okazać, że byliśmy różni i sprzeciwialiśmy się niezupełnie temu samemu.

**Witold Łucywo:**

Sytuacja nas zaskoczyła - naszym marzeniem była choćby finlandyzacja Polski, a trafiła nam się niepodległość.

**Maciej Radziwiłł:**

Został niesmak. Po 1989 roku zapanowała mania antykombatancka, kompletna bzdura. Jest przecież trochę osób, które zapłaciły kolosalną cenę za lata przerwy w życiorysie - nie tylko brakiem zatrudnienia i uprawnień do emerytury... Nikt nigdy się o nich nie upomniał. W postsolidarnościowej gazecie, która ukazuje się od kilkunastu lat, nie widziałem ani jednej publikacji na temat wydawnictw podziemnych...

Nie zostało to zapisane w pamięci zbiorowej.

Relacje zebrała i podała do druku

Wiesława Grochoła

\*\*\*

Ludzie, którzy tu o sobie opowiedzieli, raz jeszcze potwierdzili, że chcieć - to móc... W marcu 1981 pisał o nich w liście z Waszyngtonu Jan Nowak - Jeziorański: „Kiedy w moim inauguracyjnym przemówieniu, nadanym w dniu otwarcia Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa - 3 maja 1952 roku - usiłowałem przekazać słuchaczom słowa nadziei, podszedł do mnie jeden z naszych najlepszych znawców Rosji [...] i powiedział: «Żal mi was. Za ćwierć wieku po Polsce pozostanie tylko nazwa. Młode pokolenie, wychowane w komsomole, zachowa zewnętrzne formy polskości, ale myśleć będzie po sowiecku».

Członków zespołu NOWej albo nie było wtedy na świecie, albo byli jeszcze w powijakach. Nawet najwięksi optymiści nie mogli w 1952 roku odgadnąć, że po upływie jednej trzeciej stulecia

powojenne roczniki nie tylko zachowają duchową i umysłową niezależność, ale przystąpią do ataku, a raczej do bezprzykładnej szarży, w celu odzyskania wolności słowa”.

Oczywiście NOWa, której historii próbowali tu przedstawić jej twórcy wedle swej pamięci (czy raczej niepamięci - nikt z nich nie robił notatek, porozumiewanie odbywało się szeptem lub na niszczonej kartce, w biegu, w parku, w tramwaju; nikt, może poza Mirosławem Chojeckim i Konradem Bielińskim, nie wiedział, co robią inni, czy i jak składa się to w całość), taka spontaniczna, żywiołowa, wyrażająca osobiste pasje wielu bardzo rozmaitych osób, nie mogłaby tak skutecznie działać, bez oparcia w szerszym środowisku społecznym.

To środowisko KOR-u, ten etos, te sposoby działania wytworzyły - ewoluujący z czasem - model niezależnego ruchu wydawniczego, którego sercem była NOWa. Druga połowa lat 70. była porą ostatecznego rozczarowania kolejnymi kryzysami i pseudopróbami reformowania systemu. Wydarzenia czerwcowe 1976 roku obnażyły raz jeszcze przemoc władz, a po raz pierwszy w PRL uruchomiły publiczny odruch solidarności z prześladowanymi robotnikami. Wyrosło już nowe pokolenie bez doświadczeń wojennych, nie zastraszone najbardziej krwawym terrorem stalinowskim lat 40. i 50., ciekawe świata poza „żelazną kurtyną”, nie rozumiejące, dlaczego ma spędzić życie w atmosferze bezsilności, kłamstwa, bezprawia. KOR był najdojrzalszą, najwyrazistszą emanacją takich, narastających przez dwadzieścia lat, nastrojów.

Była to opozycja wyrosła z PRL, bo innej być nie mogło. Słowo prawdy i zwykłą pomoc represjonowanym okazały się czynnikiem wywrotowym. Niezależnie wydawane gazetki, książki stały się okazją do odbudowywania więzi społecznych.

Ruch ten wspomagany był z zewnątrz moralnie, a z czasem także materialnie. Wolna Europa, Głos Ameryki, polski program BBC, „Kultura” redaktora Giedroycia informowały, co dzieje się w kraju, nagłaśniały represje władz, tworząc obieg niezależnej informacji oraz uczulając władze PRL na reakcje światowej opinii publicznej. Szczególną rolę odegrali tu ówcześni polscy emigranci: Aleksander Smolar w Paryżu, Nina i Eugeniusz Smolarowie w Londynie, Irena Lasota w Nowym Jorku, Elżbieta i Jakub Świąciccy w Sztokholmie, Andrzej Chilecki w Kolonii.

Różnie potoczyły się losy dawnych opozycjonistów z NOWej. Niektórych, jak Mirosława Chojeckiego, stan wojenny zatrzasnął za granicą, inni wyemigrowali czy to ze względów politycznych, czy za chlebem. Po latach, po niespodziewanym upadku komunizmu, wszystko się zmieniło: jednym tamten czas procentuje, stał się odskocznią do karier politycznych bądź biznesowych, sporo osób odnalazło się w organizacjach pozarządowych. Inni okazali się w nowej rzeczywistości bezradni, niektórzy są bezrobotni, niektórzy przedwcześnie zmarli... Dobrze zaczynające się kariery naukowe po latach przerwy nie miały szans kontynuacji; wiele małżeństw - szczególnie osób, które znalazły się w podziemiu, rozpadło się. Wielu z tych książek, dla których się narażali, nie chce dziś czytać, poza specjalistami, prawie nikt.

Spełnienie baśni o wolności okazało się, jak zwykle, nieco smutniejsze niż baśń sama.